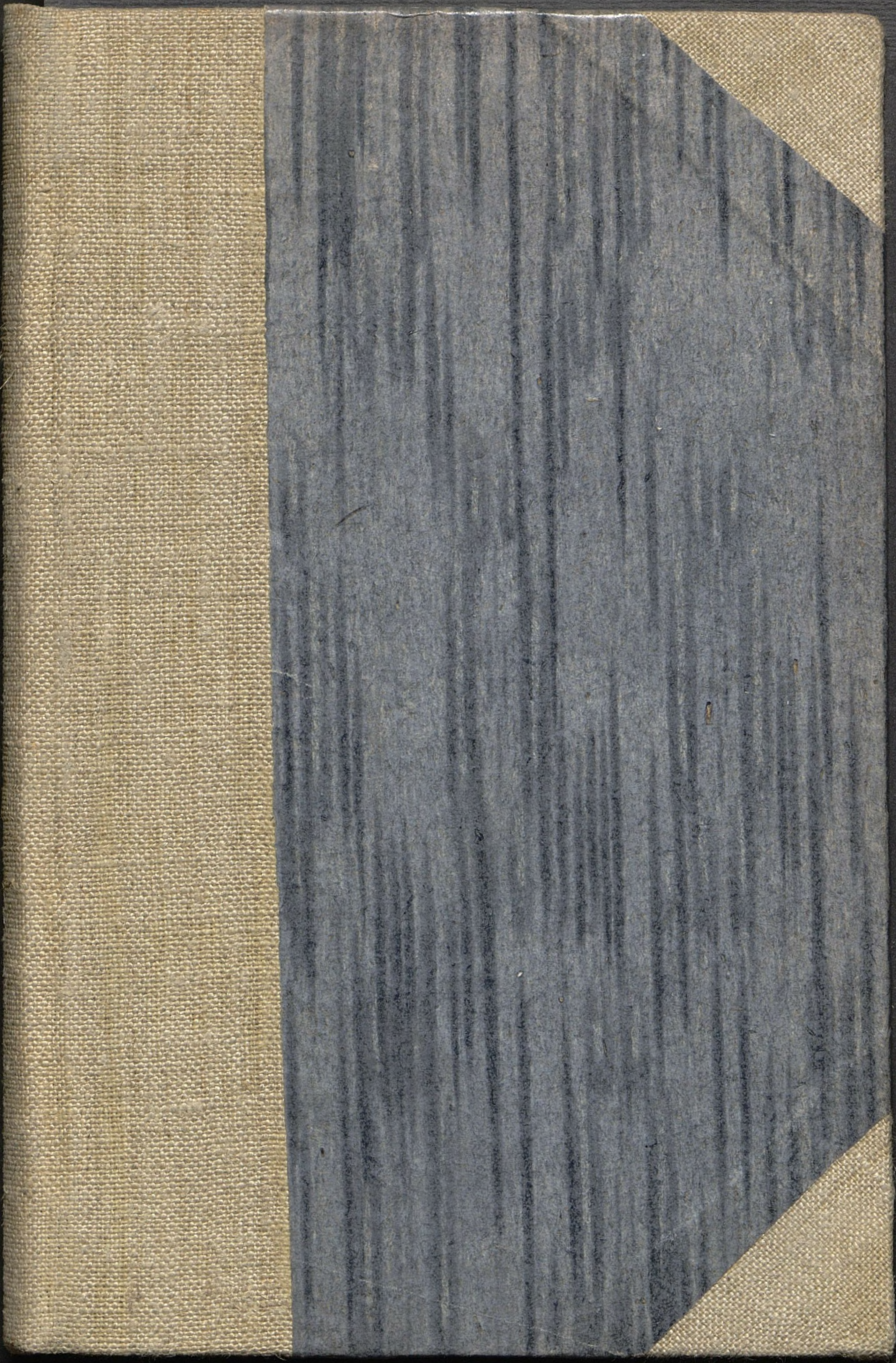


Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13



Blue	Cyan	Green	Yellow	Red	Magenta	White	3/Color	Black



A 1 2 3 4 5 6 **M** 8 9 10 11 12 13 14 15 **B** 17 18 19

R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K



Psychologia Renesansu
Włoskiego.

2/5.
1.-
25 9/8



LORENZO DI MEDICI

Ur. 1. I. 1449 – um. 8. IV. 1492.)

Obraz Bronzina.

ROTOGRAFIURA DRUKARNI I KSIĘGARNI
#m. WOJCIECHA W POZNAŃIU

Teodor Jeske-Choiński.

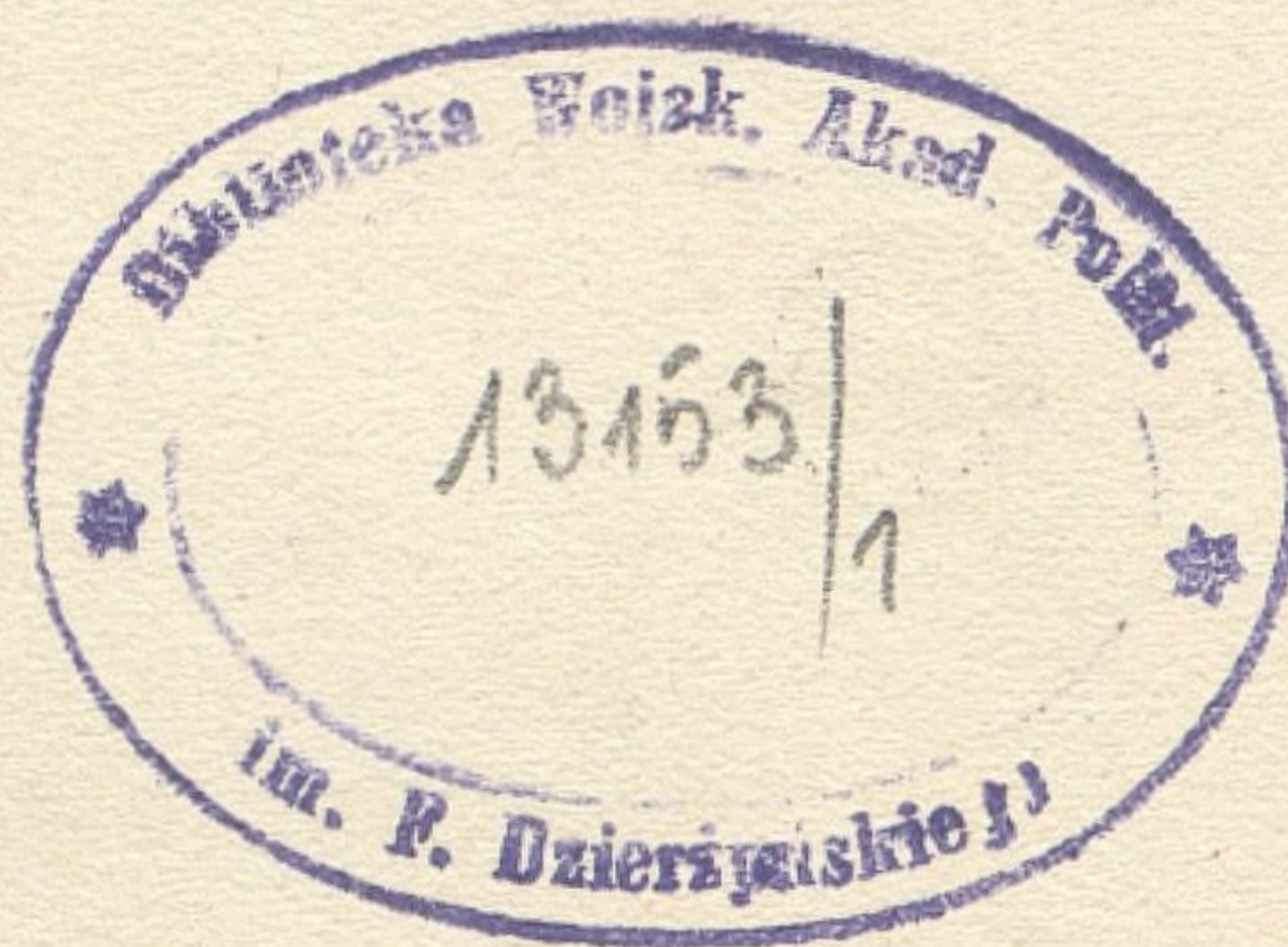
Psychologia Renesansu Włoskiego.



Poznań 1916,

Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni
św. Wojciecha.

001 1



I.

Mówi słusznie Filip Monnier w swoim znakomitem dziele p. t: „Le Quattrocento“, iż jest prawie niepodobieństwem określić renesans (est presque impossible à définir).

Wszystkie chwile wywrotowe, nie pominawszy wielkiej rewolucyi francuskiej, rysują się w historyi wyraźnie, rozwijają się w prostej linii, zmierzając do jednej mety, prowadzone jedną ideą. Twórcy i kierownicy tych chwil wiedzą doskonale, dokąd idą, czego chcą. Na pierwszy plan akcji wysnuwają się wprawdzie różnego rodzaju typy, indywidualności, ambicje, ambicyjki i podłości, jak zawsze w epokach zamętu, wszystkich jednak łączy wspólny cel. Dość przypatrzeć się ludziom i faktom, aby wniknąć w duszę chwili, wytworzyć sobie jednolity obraz pozornie nie jednolitej całości.

Nie tak w epoce Renesansu włoskiego (od r. 1400—1550).

Jest to niewątpliwie epoka wywrotowa, rewolucyjna, ale tak różnolica, tak chwiejna

między przeszłością a przyszłością, tak poszarpana śmiałymi rzutami samodzielnej myśli i wahaniem, zwróconemi ku temu, co miało się rozpaść w gruzy, iż trudno pochwycić i uporządkować jej rysy znamienne.

Wieki średnie to miały się rozpaść w gruzy, aby ustąpić miejsce innemu, nowemu porządkowi społeczeństw ludzkich, te wieki średnie, które wzięły indywidualizm na obrożę jednej wiary i jednego ustroju politycznego.

Człowiek średniowieczny, wierzący szczerze chrześcjanin, przepojony na wskroś sumieniem chrześcijańskim i ewangelią, nie miał potrzeby szamotać się w pętach wątplenia. Znał on doskonale drogę życia doczesnego i jego cel, wiedział, że wiara i cnota prowadzą go do nagrody, a grzech do kary pogrobowej. Obywał się bez filozofowania. Myślał za niego Kościół, nie tylko w owym czasie stróż wiary i etyki, ale także opiekun nauki, „budowniczy szkół wyższych i niższych“.

Człowiek średniowieczny, podzielony na kasty ustroju feodalnego, na poszczególne stany, poruszał się w swoich ramach karnie i wygodnie, nie przymuszany przez państwo do służby wojskowej. Bił się za niego rycerz pod wodzą księcia, króla, cesarza, wal-

czyli za niego zawodowi żołnierze, rodzący się z mieczem przy boku. Płacił im za to: godnościami, dobrami, przywilejami, ale nie nastawiając własnego karku i nie szukając nowych form życia, mógł spokojnie pod ochroną warownych zamków pracować.

Kościół i ustrój feudalny, których mocy i powadze uległ bez szemrania (z nielicznymi wyjątkami), zrównały, zniwelowały człowieka średniowiecznego, stłumiły, zatarły indywidualizm, wytworzyły jednolitą gromadę, w której się jednostka roztopiła.

Stan ten trwał przez lat tysiąc. Pod koniec XIII stulecia zaczął się ten porządek kruszyć.

Przodem w tej robocie wywrotowej szły Włochy. Zbudowawszy wielkie mnóstwo rzeczypospolitych i wyzwoliwszy chłopów z poddaństwa (Florencya już w r. 1286), bo „wolność jest prawem naturalnem, które nie może zależeć od samowoli bliźniego i które rzeczpospolita nie tylko popierać, lecz także pomnażać winna“ — podminowały miasta włoskie autorytet papieżstwa, cesarstwa i przywileje szlachty. Już Dante uznawał szlachectwo tylko w cnocie, a Petrarca uczył, że „prawdziwy szlachcic nie rodzi się, lecz staje się“ (*verus nobilis non nascitur, sed fit*). To samo twierdzili ich następcy:

Poggio, Platina, Palmieri, Landino i inni. „Mniemać, że się podtrzymuje cnotę swoich przodków wielką ilością psów, ptaków i koni i bieganiem po lasach, znaczy to samo, co szukać szlachectwa pomiędzy zwierzętami!“ — drwił Poggio.

Kończył się powoli porządek średniowieczny, a z nim razem ustępowały chrześcijańskie pojęcia nowemu światopoglądowi. Pomógł temu wywrotowi humanizm. Pomógł mu nieświadomie, bez zamiaru zburzenia autorytetu i ustroju gasnącego średniowiecza.

Humanizm, czyli kult literatury i sztuki grecko-rzymskiej, nie był wynalazkiem humanistów XIV i XV stulecia, jak im się zdawało, jak wierzyli i głosili. Tradycja grecko-rzymskiej, a głównie rzymskiej kultury, wiła się we Włoszech przez całe wieki średnie.

I nie mogło być inaczej. Włosi byli przecież potomkami Rzymian, ich sławy wszechświatowej dziedzicami. Język ich powstał z rzymskiego. Barbarzyński najazd szczepów germańskich, druzgocąc księgi, pomniki i dzieła artystyczne Romy, nie mógł zniszczyć wszystkich. Zostały po nich ułamki, ślady, został język łaciński, zostało ustawodawstwo. Kołatała się po miastach

prastara tradycja „świętej, wiecznej, złotej Romy“. Zachowały się także tu i owdzie księgi łacińskie i greckie. Klasztor w Bobbio posiadał w X stuleciu w swojej bibliotece Arystotelesa, Demostenesa, wszystkich poetów łacińskich i gramatyków: Adamantiusa, Dosithensa, Papiriusa, Priscinusa (jak wykazuje „Catalogus Bobiensis X seculi“); zakonnicy słynnego Monte-Cassino pocili się już w tym samym czasie pod batutą opata Desiderio nad przepisywaniem, poprawianiem i komentowaniem rękopisów klasycznych.

Jakże mogła we Włoszech zginąć tradycja rzymska, kiedy Kościół, władca, pan średniowiecza, przyjął język łaciński za swój, a rzymskie prawo cywilne stało się podwaliną ustawodawstwa świata chrześcijańskiego? Ksiądz, dyplomata, prawnik, urzędnik musiał umieć po łacinie. Uczono łaciny już około r. 1000 nie tylko w szkołach klasztornych, ale także świeckich.

Więc nie humaniści odkryli skarby kultury grecko-rzymskiej, jak się chętni. Wysunęli oni tylko język łaciński na pierwszy plan wiedzy, oczyścili go z naleciałości szeregu wieków, przywrócili mu pierwotną czystość.

Na twórczość oryginalną, samodzielna,

nie było ich stać. Bawili się wprawdzie wszyscy w poezję, mieli się za poetów, ale ich poezye należy zaliczyć do sztuczek rymotwórczych, pozbawionych natchnienia i polotu. Były to robótki uczonych pedantów.

Nie twórcami poetami, lecz filologami, gramatykami, kompilatorami byli humaniści.

Poprzedził ich Franciszek Petrarca, uczony i poeta, wytworny prałat (ur. w Arezzo w r. 1304 † 1374). Szerokie masy znają go jako autora sonetów, ociekających miłością do Laury, ale te sonety i ta miłość awiniońska były tylko epizodem w jego życiu. Więcej niż madonnę Laurę kochał on tradycje Rzymu, jego przestawne dzieje i literaturę. Jego duszę podniosła i wyniosła olśniewał szeroki gest rzymskiego obywatela, pana świata, zachwycało bohaterstwo rzymskiego żołnierza, upajało potężne słowo rzymskiego mówcy. Karłami wydawali mu się współcześni w porównaniu z „staremi“. Przesiąkł on do tego stopnia aż do szpiku kości tradycjami wielkiego Rzymu, iż myślał jego myślami, pojęciami i czuł jego uczuciami, iż „rozmawiał tylko z umarłymi“. Cynceron i Wirgiliusz byli jego najmilszymi przyjaciółmi.

On jeden, „wielki przodek“ humanizmu zrozumiał ducha starożytnych, wniknął w jego

głębie, wzniósł się do jego tytanicznych rozmiarów. Śladami jego poszli: Jan Boccaccio (1313—1375), słynny autor osławionego „Dekameronu“, ksiądz Ludwik Marsigli, Augustyanin (1330—1394) i Coluccio Salutati (1331—1394), kanclerz Florencji.

Tłum humanistów, który roił się we Włoszech w miastach republikańskich i na dworach kondotierów w XV stuleciu, nie wzniósł się do wyżyn Petrarcki. Nie ducha starożytnych umiłował, lecz formę, jaką się ten duch posługiwał, nie jądra szukał, lecz jego skorupy.

Szło humanistom przede wszystkim o czystość języka łacińskiego, zachwaszczonego przez mnichów średniowiecznych. Więc spierali się przez czas dłuższy z zaciekłością polemistów o różne drobiazgi ortograficzne: czy np. *communicare* trzeba pisać przez jedno *m* albo dwa *m*., *atrahere* przez jedno *t* albo przez dwa *t*, *cum* albo *quum*, *littera* albo *litera*, *mihi* albo *michi* itd. Walne bitwy staczali między sobą na papierze, kłócąc się o ortografię. Vitorino de Feltre, Jan Tortelli, Scarpa, Guarino de Verone i inni poświęcili temu „ważnemu tematowi“ obszerniejsze broszury. Colucciowi Salutati zajęły drobiazgi ortograficzne aż 46 lat.

Po uporządkowaniu ortografii łaciń-

skiej przyszła kolej na słownikarstwo i gramatykę. Słowniki budowali: Maffeo Veggio, Antoni Carlo, Guarino de Verone, Tortelli; synonimy zbierali: Barizza, Fieschi, Lamola; gramatyki układali: Guarino, Kacper Veronese, Ognibene de Leoniceno, Mikołaj Perrotti, Jerzy Trapezuntios (1471 r.).

Oczyściwszy język łaciński z chwastów średniowiecznych, pracowali humaniści nad oszlifowaniem stylu i nad retoryką. Znakomitsi z pomiędzy nich, wykształceni na wzorach klasycznych, mówili i pisali doskonale po łacinie. Ich retoryka jednak grzeszyła głośnobrzmiałą a pustą frazeologią naśladowców, epigonów. Przyświecali jej Cyceeron i Kwintilian, ale olśniewały ją głównie kwieciste, barwne zwroty wielkich mówców rzymskich. Ducha, siły, potężnej argumentacji mistrzów żywego słowa nie odczuwali, nie umieli naśladować. Wytworzyła się stąd napuszona, jaskrawemi frazesami nadziana retoryka, pełna ładnych słów a pozbawiona treści. Mowy uroczyste, pogrzebowe lub powitalne humanistów bywały tak kuglarskie i puste, iż francuski kardynał d'Estourville, człowiek trzeźwy i rozumny, zdumiony jedną z nich, wygłoszoną w Rzymie przez Wawrzyńca Vallę, rzekł: ten człowiek jest chyba obłąkanym. A Valla

należał do najzdolniejszych, najsamodzielniejszych pisarzy swego czasu.

Kuglarzami żywego słowa byli retorycy humanizmu, a im zdawało się, że prześcignęli wszystkich mówców starożytnego świata. Służyli swoją kwiecistą frazeologią najczęściej próżności ludzkiej, a wierzyli, że ich sztuczna sztuka retoryczna rządzi losami ludzkości. Aeneasz-Sylwiusz (Papież Pius II) przypisywał wymowie moc rządzenia światem, a Jan Pontano, minister spraw zagranicznych królestwa neapolitańskiego, zapewniał papieża, że „nie potrzebuje się niczego obawiać dopóty, dopóki będzie otoczony gromadą uczonych i mówców“.

Szukając materiału dla swoich sporów ortograficznych. dla słowników, grammatyk i mów, wędzili humaniści z gorliwością wyżłów nietylko we Włoszech, ale także we Francji, w Niemczech i gdzie się tylko dało, po klasztorach i zamkach rycerskich. Książka stała się dla nich najdroższą kochanką. Już Petrarca nie omijał żadnego klasztoru, aby nie przetrząść jego biblioteki i strychów. Przyjaciół swoich we Włoszech, Francji, Hiszpanii, Anglii i Niemczech zarzucał listami, prosząc ich o nadsyłanie mu rękopisów. Od chłopów Romanii kupował stare monety i medale.

Poggio, udawszy się w r. 1417 na koncilium do Konstancyi, zamiast brać udział w obradach, włóczył się po okolicznych klasztorach i odkrywał „całe skarby“ (dzieła Quintiliana, Waleryusza, Flaccusa, Asconiusa, Pedranusa, Liwiusza, Italicusa, Ammianusa, Marcellinusa, ośm mów Cicerona i wiele innych).

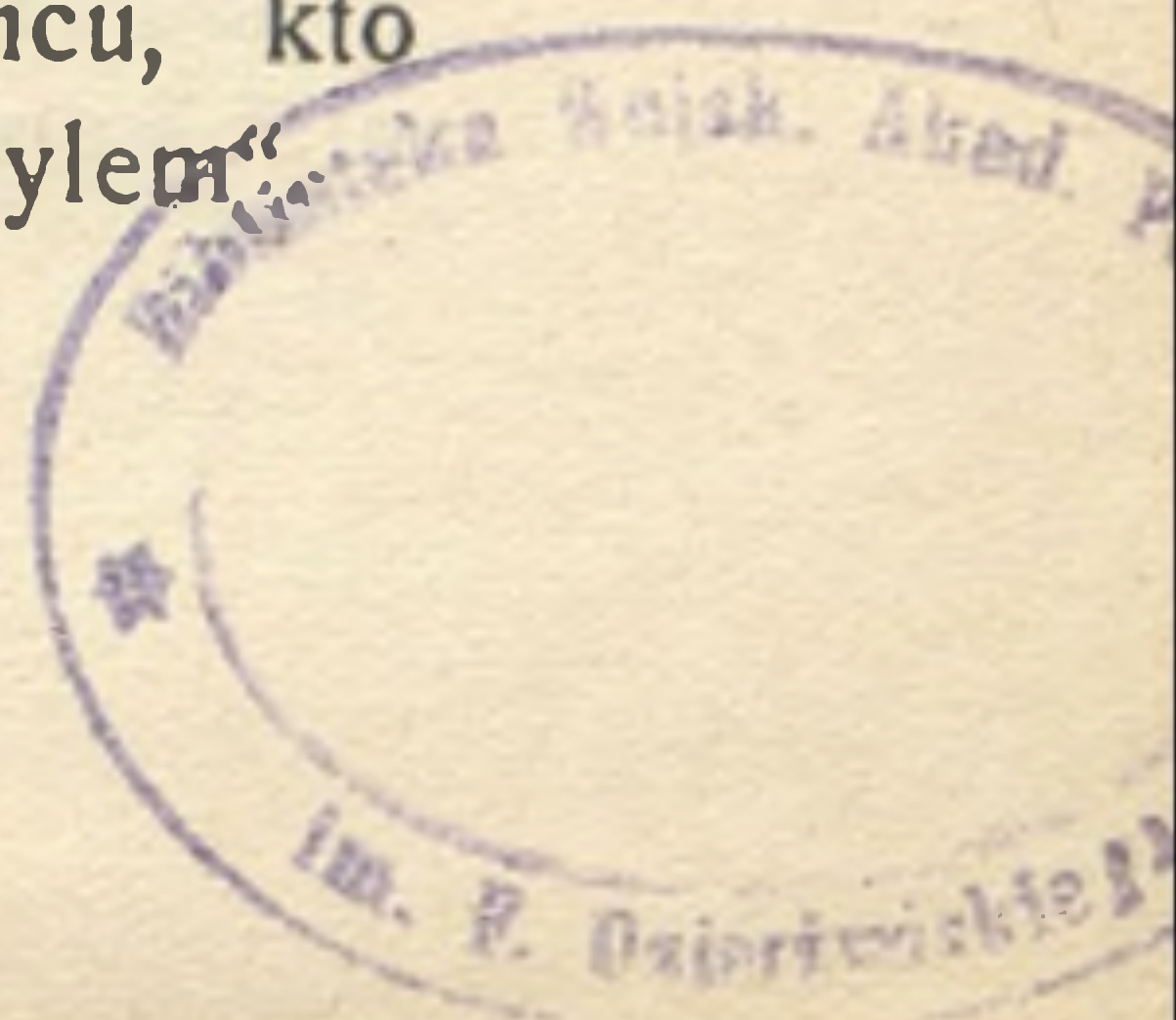
Namiętność zbierania książek ogarnęła nietylko zawodowych humanistów, uczonych, lecz wszystkich wogóle inteligentów XV stulecia: papieżów, królów i książąt, kardynałów, biskupów, wyższych urzędników i bogatych mieszczan. Każdy chciał posiadać jakąś bibliotekę, być uczonym lub uchodzić za uczonego.

Humanizm opanował, opętał całą inteligencję włoską XV stulecia, język łaciński stał się nietylko językiem uczonych, lecz także językiem salonów, jakbyśmy się dziś wyrazili. Uczyły go się nawet kobiety.

Humanisci tryumfowali. Wypędzili oni język włoski, język Dantego, ze świątyni literatury i nauki, zepchnęli go do rzędu ordynarnych gwar ludowych (volgare). Kto nie umiał po łacinie, ten nie miał prawa nazywać się oświeconym.

Potrzebni Kuryi rzymskiej, cesarzowi, królom, książętom, kondotjerom, miejskim

republikom, jako dobrzy styliści, mówcy, panegirycy, profesorowie, nauczyciele, zajęli humaniści wszystkie posady publiczne. Byli kanclerzami republik, sekretarzami różnego rodzaju władców, wychowawcami ich dzieci, profesorami uniwersytetów, urzędnikami, dworzanami i t. d. Najchętniej tłoczyli się do Rzymu, gdzie ich łaska papieżów i kardynałów zasypywała sutemi pensyami i tłuściami posadami, prebendami, synekurami. Hojniejszym od książąt, kondotierów i władz republikańskich był Kościół. We Watykanie zajmowali stanowiska: pisarzy, przepisujących, sekretarzy apostolskich, notaryuszów, protonotaryuszów, stylistów. Obowiązkiem zdolniejszych była redakcja encyklik, ozdabianie ich ramami wytwornej łaciny. O piękną formę dbali bardzo papieże. Aeneasz Sylwius (Papież Pius II), sam dobry łacinnik, uczył: „prawdziwym sekretarzem apostolskim i godnym tego tytułu jest, zdaniem mojem, tylko ten, kto umie wyszukiwać słowa właściwe i łączyć je zręcznie; kto włada sztuką wywoływania namiętności i łagodzenia ich; w którego pismach drgają fibry subtelności i kultury wolnego człowieka; kto zna gruntownie starożytność, mnóstwo przykładów historycznych, prawo cywilne i kanoniczne — ten w końcu, kto rozporządza łatwym i ozdobnym stylem“.



Gromadnie tłoczyli się wybitniejsi humaniści do Rzymu. Służyli papieżom XV stulecia: Poggio (od roku 1403), Bruni (1405), Loschi (1407), Scarparia (1410) Cenci (1417), Bartłomiej de Montepulciano Grzegorz Correr, Bartłomiej Fazzio, Maffeo Vegio, Jan Aurispa, Ermolao Barbaro i wielu innych. Przybywali z różnych stron: z Wenecyi i Toskanii, ze Spezi i Medyolanu, z Sycylii, Neapolu i Lombardyi. Pełny żłób i nadzieja wysokich godności kościelnych zwabiały ich z zewsząd.

Do kultu łaciny przyłączył się kult grecczyzny. Zaszczepił go na ziemi włoskiej Grek Manuel Chrysoloras, patrycyusz bizantyński, dyplomata w służbie cesarza Paleologa. Uproszony przez dwóch patrycyuszów florenckich, Roberta de' Rossi i Jakóba da Scarperia, przybył w styczniu 1397 do Florencyi. Trzy lata tylko olśniewał Florentczyków swoją erudycją, uczonością, wymową, rozumem i dobrocią (wrócił do Konstantynopola w marcu 1400 r.), a te trzy lata wystarczyły do zapalenia pochodni entuzjazmu dla sztuki i literatury Hellady. On zapoznał Florentczyków z Homerem, Platonem i Demostenesem, o których Włochy zapomniały. Cała inteligentna Florencya, uczeni i kupcy, świeccy i duchowni, rzuciła się

do grecczyny. Uczył się po grecku na łeb na szyję stary kanclerz, Coluccio Salutati, uczył się zagorzały łacinnik, Leonard Bruni, uczył się i sprowadzał z Bizancjum kosztowne książki piękny Pallas Strozzi, uczyli się wszyscy. Entuzjazm ten trwał we Florencyi przez cały wiek XV i stworzył tam pod jego koniec „akademię platońską“, ognisko: poetów i uczonych, gromadzących się dokoła Wawrzyńca de' Medici, „Wspaniałego“.

Upojeni swoją znajomością języka łacińskiego i greckiego i główniejszych dzieł, napisanych w tych językach, odurzeni swoją mądrością, urosli humaniści w swoim mniemaniu do rozmiarów wybrańców ludzkich, mienili się być geniuszami. Każdy z nich uważał się za znakomitego poetę, filozofa i krasomówcę. Dantego, śpiewającego w „gwarze wulgarnej“, mieli za pachotką, nie sięgającego im do pięt.

Tania, łatwa sława przewróciła im w głowie.

Jeden z wybitniejszych humanistów, Franciszek Filelfo (ur. 1398 † 1481), mówił do Pallasa Strozziiego: cóż może (mając siebie na myśli) być godniejszego nad wielkiego człowieka? Przed sułtanem tureckim przechwalał się: Jestem jednym

z tych, którzy, sławiąc wymownie wielkie dzieła ludzkie, czynią nieśmiertelnymi tych, których natura stworzyła śmiertelnymi. Nawet mistrzów swoich, autorów rzymskich i greckich, lekceważył. „Jeśli Wirgiliusz przewyższa mnie w poezji, to ja przewyższam go w wymowie — chełpił się — jeśli Cyce-ron bije mnie swoją retoryką, to ja wyprzedzam go moimi poezjami. Pokażcie mi takiego drugiego mistrza, jakim jestem ja“.

Megalomanami byli humaniści, zwarli się w kastę, odcięta od całego narodu! Kto nie umiał po łacinie lub po grecku, należał według nich do motłochu. Znajomość języków klasycznych nazywali „cnotą“. Na nie-humanistów, na „ciemną, głupią, bezmyślną kanalię“, spoglądali z góry, z pogardą, jak się patrzy na stado baranów. „Lud jest obłąkany, jest potworem, pełnym obłądnych i fałszywych wierzeń i pojęć“ — pisał Franciszek Giucciardini.

Pograżeni w klasycyzmie, w martwych pergaminach, rękopisach, księgach, obcy swojemu narodowi, życiu, nie widzieli humaniści świata poza starożytnością, nie rozumieli swojej epoki. Bruni mawiał: „czasy Demostenesa i Cyce-rona są mi bliższe od współczesności“. „Tylko ci co napisali dzieła

łacińskie, pełne wymowy i wiedzy, albo tłumaczyli z greckiego na łacinę, mogą o sobie powiedzieć, że żyli“ — twierdził Poggio. Gdy któryś z humanistów odkrył gdzieś w jakim klasztorze lub zamku nieznaną jeszcze księgę, domagali się jego przyjaciele, aby Włochy wystawiły na jego cześć łuk tryumfalny.

Megalomanami stali się humaniści, a ci „arystokraci ludzkości“, ci „jedyni przedstawiciele świata“ byli właściwie tylko odgrzebywaczami, przepisywaczami, tłumaczami, komentatorami literatury grecko-rzymskiej, byli naśladowcami, kompilatorami, czcicielami formy. Na dzieło samodzielne, pomnikowe, tryskające albo z natchnienia szczerego poety, albo świeżego źródła myśli oryginalnej, nie zdobył się żaden z nich. Zagrzebani w starych rękopisach, starych księgach, ubiegając się tylko o gładką formę, kłócąc się o drobiazgi gramatyczne, filologiczne, nie zdawali sobie nawet sprawy z istotnego znaczenia, ze skutków swojej roboty, nie wiedzieli, że przykładali rękę do zburzenia wspaniałego gmachu etycznego zbudowanego przez chrześcijaństwo.

II.

Oślepieni niezwykle świetną tradycją imperyum rzymskiego, nie rozważyli humaniści XV stulecia, że każde umarłe państwo składa się z trzech epok: początku, rozkwitu i upadku.

Jakaś mocna, odważna grupa ludzi zdobywa jakiś szmat ziemi, rozszerza go w miarę rosnących sił i zaprowadza ład na zajętem terytoryum. Do tej roboty potrzeba oprócz religii cnót: władzcy, żołnierza, obywatela, prawodawcy — rozumu, energii, waleczności, poczucia obowiązku i czystości rodziny. Po tem wstępie nadchodzi rozkwit państwa, a za rozkwitem idzie: dobrobyt, bogactwo, literatura, sztuka, handel, przemysł, czyli t. zw. kultura. Przez pewien czas żyją jeszcze w epoce rozkwitu cnoty twórców, potem zaczynają więdnąć, gasnąć. Z bogactwa wypełza trujący czerw: zbytku, rozpusty, lenistwa, bezsilności ducha, panowania zmysłów i egoizmu. Bohaterski, obowiązkowy, karny obywatel staje się samolubnym indywidualistą, zajętem tylko sobą,

tylko rozkoszą życia i umiera na wyczerpanie energii.

Gdyby humaniści, wpatrzeni w wielką przeszłość Italii, jak w słońce, byli zwrócili uwagę narodu włoskiego na epokę bohaterską „Romy drewnianej“, na czasy królów i konsulów, które wydały cały szereg wielkich władców, wojowników, obywateli i matron, byliby się byli przysłużyli niewątpliwie swoim ziomkom, toczonym właśnie przez robaka rozpoczynającej się zgnilizny.

Ale wiek XV nie był we Włoszech „wielkim“, jak mniemają jego wielbiciele. Nie on wydał Dantego i Petrarę, św. Tomasza z Akwinu, św. Franciszka z Asyżu i Papieża Innocentego III, lecz wieki poprzednie. Nie on stworzył ligę lombardzką, gminy i ustawy republikańskie, zakładał instytucje dobroczynne i szpitale; nie on mógł się pochwalić obywatelami w stylu rzymskich konsulów, broniącymi swoich swobód i miast z bohaterstwem „ojców ojczyzny“.

Republiki włoskie pracujące przez całe sto lat z niezwykłym wysiłkiem, wzbogaciły się nadmiernie. Trudniąc się głównie handlem i przemysłem, zarzuciwszy całą Europę swoimi kantorami bankierskimi i towarami, zgarniały tyle mamony, iż nie wiedziały w końcu, na co jej użyć. Głównie

Wenecya, Genua i Florencya opływały w złoto.

Z wielkim dostatkim słabła energia możnego mieszczaństwa, gasły jego cnoty obywatelskie, republikańskie i żołnierskie. Bogacz gnuśniał, stawał się sybarytą, smakoszem życia, żądnym rozkoszy i blichtru społecznego (godności, tytułów), piał się w górę. Powstała nowa arystokracja, najobrzydliwsza, bo arystokracja pieniądza, gardząca ubogim. Z energią i cnotami obywatelskimi uchodziły także cnoty ludzkie i rodzinne. Pojęcia etyczne chwiały się, usuwane powoli przez egoizm.

Mieli więc humaniści XV wieku wdzięczne pole do pracy, mogli podkreślając cnoty „drewnianego“ Rzymu, podnieść słaniającego się już ducha swojego narodu, ale cóż ich: gramatyków, stylistów, retorów, obchodziła dusza narodu? Więcej, niż szczęście Włoch, zajmował ich spór o jakiś drobny biazg filologiczny, lub znaleziona książka.

I nie Rzym „drewniany“, bohaterski, olśniewał, lecz, przeciwnie Rzym „złoty“, — Rzym upadku, on bowiem napisał najwięcej dzieł literackich. Napawali się oni wprawdzie szerokim gestem powstającego Rzymu, ale nie odczuwali tego gestu, nie mieli

go w krwi. Byli przecież sami dziećmi swojej chwili.

Uczyły ich dzieje starożytnego Rzymu jednolitej karności w służbie Italii, a oni, Włosi XV stulecia, rozbici na kilkadziesiąt republik, margrabstw, księstw i księstewek, zatracili poczucie wspólności z całym narodem. Ojczyzną ich była nie Italia, lecz: Wenecya, Florencya, Ferrara, Piza, Genua, Mirandola, Bolonia, Medyolan, Neapol i t. d. Każdy miał inną. Te wszystkie „bliższe ojczyzny“ żarły się ciągle pomiędzy sobą, zazdrościły sobie nawzajem powodzenia, brały się za łby, wydzierały sobie miasta i miasteczka, wsie i wioski.

Uczyły dzieje starożytnego Rzymu poświęcenia swojego „Ja“ dla powszechnego dobra, uczyły patriotyzmu. A oni, Włosi XV stulecia, uczeni, kupcy, fabrykanci, groszorboby, smakosze życia, nie uważali za potrzebne służyć jakiej niesamolubnej idei. Włochy, jako całość, dla nich nie istniały, o jednolitości narodu nie myśleli. Myśleli o tem Dante i Petrarca, ale te dwa orły były dziećmi „wieku wielkiego“. Wiek XV nie rozumiał patriotyzmu. Według Wawrzyńca Vaili „jest ojczyzną gromada jednostek, z których ani jedna nie powinna ci być droższą od ciebie samego i z których

żadna nie ma prawa do twojego życia. Nie mam wcale obowiązku umierać za jednego obywatela, za dwóch, trzech i tam dalej bez końca. Jakiem prawem miałbym być spętany obowiązkiem umierania za ojczyznę, która jest sumą tych jednostek?”

Trudno lepiej określić egoizm indywidualizmu.

Zapomniawszy o waleczności i cnotach obywatelskich przodków, wołały miasta włoskie oddawać losy swoje w ręce najemnego żołdactwa, prowadzonego przez zuchwałych kondotierów, albo nawet w drapieżne ręce obcych państw. Zdawało im się, że za pieniądze można wszystko kupić, że dość zapłacić, aby zabezpieczyć spokój gminy republikańskiej.

Myliły się.

Z sybarytyzmu mieszczaństwa skorzystali ambitni karyerowicze, odważni awanturnicy, bezwzględni bandyci polityczni, zwani kondotierami, którzy rozbili brutalną ręką w puch wolność republik, narzuciwszy im jarzmo despotyzmu, nowoczesnego państwa pierwowzoru.

Uczyli mędrcy greccy i rzymscy humanistów spokoju w nieszczęściu (stoicy), pogardy bogactwa i pobłażliwości dla przeciwników. A oni tracili przytomność w chwi-

lach ciężkich (uciekali z miast, zakażonych jaką epidemią), ubiegali się bezwstydnie o dobrobyt: pochlebstwem, żebraniną, panegirykami, łasząc się, liżąc stopy bogaczy. Gdy pochlebstwo nie pomogło, zdobywali mamonę za pomocą groźby, oszczerstwa, paszkwilu (Franciszek Filelfo). Dotknięci przez jakiegoś krytyka, wpadali w furę.

Ich megalomania, ich „nieomylny geniusz“, nie znosił najłżejszej oceny. Byli przedrażliwi, jak żydzi. Kłócili się o lada drobiazg z taką namiętnością i z taką brutalnością, iż im, „arystokratom ludzkości“, im, „soli świata“, „wytwornym“, mogła pijana przekupka pozazdrościć niechlujnej swady. Filelfo, polemizując z Poggiem, nazywa go „workiem wina, olbrzymim brzuchem“. Oddając mu pięknem za nadobne, odpowiada Poggio: „ty, cuchnący satyrze, ty brudny koźle, ty wrogu Boga i ludzi!“ Zaczepiony przez Valle, krzyczy Poggio: wszystkie zbrodnie i podłości wiszą na twojem sumieniu; jesteś królem w królestwie głupoty; uwieńczyć cię powinni wieńcem z kiełbas wśród ryku osłów. Koncylium djabłów powinno cię sądzić itd.

Dwaj domownicy Wawrzyńca de'Medici Wspaniałego, Ludwik Pulci i Mateusz Franco, obaj poeci humorystyczni, lubujący

się w tonie burleskowym, zazdroszcząc sobie nawzajem względów bogatego przyjaciela i mecenasa, brali się ciągle za łby, obrzucali się obelgami. Złośliwo-dowcipny Franco, napisał jakiś bezimienny, uszczypliwy sonet przeciw Pulciemu i puścił go na miasto. Zaraz zapłonął Pulci okrutnym gniewem i pisał do Wawrzyńca: „Napisałem ten list febrycznie drżącą ręką, bo dziś z rana przynieśli mi krewni sonet, w którym zarzucono mi żganie nożami i wiele innych rzeczy, o jakich nie wiedziałem. Tak mnie to wzburzyło, iż wstrząsnęła mną dziś na rynku febra. Boli mnie to ogromnie, bo tak, jak ze mnie, nie drwiono dotąd nawet z psa. I wiem, kto to czyni i chcę ci tylko powiedzieć, że ten łotr okłamuje cię bezczelnie. Nie śpię, nie jem, wściekam się; dom mój kąpie się w łzach, a ty nie wierzysz w to wszystko i nie chcesz tego widzieć“.

A Franco pisał do Wawrzyńca: „Jestem Franco i cieszę się, że wielka bezczelność Ludwika Pulcia wyszła w przeciągu dwóch dni na jaw. Jakkolwiek się Pulci przyznaje do błędu, jaki popełniła jego głupota, zachowuje się on coraz to nieprzyzwoiciej, puszczając wodze swojemu bestyalizmowi. Gigi jest przykry, Gigi jest

obrzydliwy. Gigi ma zły język, Gigi rozsiewa skandale. Gigi grzeszy według waszego mniemania tysiącem wad, a mimo to nie umie się wasz dom obyć bez niego. Gigi jest wyrzutkiem ludzkości“.

Pod jednym dachem ci dwaj ludzie ciągle przebywali, z jednego żłobu jedli, z jednej szkatuły czerpali wyżebrane złoto, a obszczekiwali się i gryźli bezustannie, jako te psy, warczące na siebie przed pełną miską, zazdrośni, przewrażliwi aż do podłości.

W ten sposób rozmawiali ze sobą wybitni, najzdolniejsi humaniści, pomijając jeszcze biegleszych w opluwaniu współzawodnika, drugorzędnych i trzeciorzędnych skrybów. Epitety: psi synu, bękarcie, łajdaku, łotrze i t. p. „dekoracye“ zdobiły polemiki humanistów.

Więc niczego dobrego, szlachetnego, nie nauczyli się humaniści od swoich uwielbianych, starożytnych mistrzów, a nie nauczyli się dla tego, bo zamiast się wpatrzeć, wczuć w wielką, obywatelską duszę Romy „drewnianej“, rozkoszowali się wytwornemi ramami Romy „złotej“, rozkładającej się etycznie w tych lśniących ramach. Ich zachwyty dla gnijącej kultury greckorzymskiej zaraził całą inteligencję włoską

XV stulecia i zwichrzył jej pojęcia, tworząc nowego człowieka.

Ten przewrót pojęć przygotowali humaniści nieświadomie, byli bowiem zbyt płytkcy, by mogli przewidzieć skutki swojej roboty.

Uprzedził ich zresztą duch czasu.

Tysiąc lat na obroży ascetyzmu chrześcijańskiego i moralności chrześcijańskiej trzymane zmysły zaczęły się już w XIV wieku buntować przeciw tej obroży. Chrześcijaństwo żądało od wiernego wyrzeczenia się dóbr tej ziemi, a zmysły pragnęły tych dóbr. Chrześcijaństwo nazywało ziemię padłem płaczu, wskazując niebo jako jedyny cel człowieka, a zmysły kochały ziemię, jej radość i rozkosze. Chrześcijaństwo domagało się tłumienia instynktów zwierzęcouludzkich dla dobra duszy, a zmysły łaknęły swobody tych instynktów, pełni ich rozwoju, to znaczy pełni życia.

Dopóki autorytet Kościoła nie pozwolił się zmysłom rozhulać, a autorytet cesarza i ustroju feodalnego trzymał na wodzy samowolę rozkiełznanego indywidualizmu, zmysły albo drzemały pokornie, albo udawały, że drzemią.

Ale autorytet Kościoła zaczął się już w XIV wieku chwiać, a autorytet cesarza i

ustroju feodalnego runął we Włoszech, podkopany przez liczne komuny republikańskie.

Pierwsze chwile tej zmiany porządku społecznego nie oddziaływały na zmianę pojęć i obyczajów Włoch. Nie od razu rozpada się gmach, który wieki zbudowały. Kilku pokoleń potrzeba, aby tak mocny gmach zburzyć.

Pierwsi republikanie, skromni w swoich potrzebach i pracowici, oddani całą duszą gminie, należeli jeszcze do „wieku wielkiego“, — szczerzy chrześciance, uczciwi, do ofiar skłonni obywatele, czyści w obyczajach. Cnoty Rzymian „drewnianego Rzymu“ i pierwszych chrześcian zlały się w nich w jedną piękną całość. Dla nich śpiewał Dante. Oni rozumieli, odczuwali jego duszę podniosłą.

Przykładem Florencyja, typ gminy włoskiej XIV stulecia. „Obywatele Florencyi — pisał Jan Villani w swojej „Kronice“ — żyli skromnie, karmiąc się prostemi potrawami, oszczędni, dobrych obyczajów, silnie zbudowani. Ubierali się w grube sukno, oni i ich żony. Florentynki chodziły w trzewiakach bez ozdób. Najmożniejsze z nich nosiły suknie z pospolitego szkarłatu cypryjskiego, przepasane skórzanym pasem we-

dług starej mody i płaszcze, obramowane skórą, zaopatrzone kapiszonem dla ochrony głowy. Sto liwrów było zwykłym posagiem kobiety, dwieście zaś lub trzysta uchodziły za posag wspaniały. Takimi byli wówczas Florentczycy. Ale byli ludźmi dobrej wiary, lojalni pomiędzy sobą i wobec komuny. Ze swoim ubóstwem i prostactwem zrobili więcej, stworzyli więcej dzieł szlachetnych, aniżeli czasy nasze z ich wytwornością i bogactwem“.

Tak wyglądała Florencya uboga i prostacka, ta sama Florencya, która z bogaciwszy się na handlu i przemyśle i zwywniawszy w objęciach humanizmu i zbytku, stała się pod koniec XV stulecia gniazdem rozpusty, zawiści stronnicej i złośliwego oszczerstwa.

W miarę, jak się miasta włoskie bogaciły, słabły w synach i wnukach twórców republik cnoty dziadów i ojców, a zaczęły kiełkować wady bogatych parweniuszów. Ludzie dawniej lojalni pomiędzy sobą, nienawidzili się teraz, zwalczali się, zazdroszcząc sobie władzy, urzędów, godności; ludzie dawniej oddani gminie, służący bez szemrania jej interesom, rozpadli się na liczne stronnictwa, pożerające się nawzajem. A wszyscy, bogaci i ubodzy, pragnęli uży-

wać życia, o ile się tylko dało. Znalazło się oczywiście w tłumie renesansowych użytkowników życia czyste, uczciwe, obywatelskie natury, większość jednak inteligentów owego czasu bawiła się za wesoło, jak się bawili Rzymianie z czasów imperatorów.

Humanisci zastali grunt przygotowany.

Republiki, które złamały autorytet jednolitego ustroju społeczno-politycznego średniowiecza, które stargały pęta monarchów i szlachty, wyrzuciły na wierzch mnóstwo samodzielnych, indywidualnych jednostek, rządzących się nie prawem powszechnym, lecz własną wolą, nie dobrem publicznym, lecz osobistymi egoistycznymi sprawami.

Bogactwo miast podnieciło apetyty zmysłów, urodziło „pełnię życia“.

„Ideał“ Renesansu (indywidualizm i głód życia) był przygotowany. Na ten grunt rzucili humanisci stos ksiąg rzymskich i greckich, w których zgłodniałe zmysły znalazły obok szlachetnych gestów i wskazówek kult ciała świata pogańskiego, wręcz przeciwny ideologii chrześcijańskiej. Gesty i wskazówki szlachetne Hellady i Romy Renesans pominął a upodobał sobie głównie kult ciała, zastosowawszy go do swoich apetytów.

Ojcami chrzestnymi Renesansu byli humaniści, sami o tem nie wiedząc.

Nowy człowiek wykuł się z Renesansu, nowa indywidualność, odrywająca się od chrześcijaństwa, a wracająca do pogaństwa.

Głównym rysem znamienym tego nowego człowieka było pożądanie pełnej swobody ruchów we wszystkich kierunkach, nieskrępowanej żadnem autorytetem, przymusem, obowiązkiem. Wolnym chciał on być, jak ten ptak w powietrzu, robić chciał, co mu się żywnie podobało, a podobało mu się przedewszystkiem używać życia, rozkoszy zmysłów, i zadowalać swoje ambicje. Poza sobą, swojemi pragnieniami, apetytami, nie widział innego celu życia. Obojętną mu była ojczyzna, obojętnym bliźni. By dojsć do swojego celu, nie przebierał w środkach. Jeśli się czuł silnym, mocniejszym od współzawodnika pogoni za „szczęściem“, nie wahał się użyć gwałtu, miecza, sztyletu, trucizny; słabszy, uboższy, posługiwał się pochlebstwem, psią uległością, żebraniną. Mocny był zuchwałym, bezwzględny, słaby podłym.

Nic go nie obchodziło, oprócz niego samego. „Służy dostatecznie państwu — mówił Leon Baptysta Alberti, jeden z naj-

wybitniejszych typów Renesansu — kto uprawia swoje osobiste zdolności“.

Nikomu nic nie zawdzięczał. Był tak pewnym siebie, swojej siły, swoich zdolności, że ufał tylko sobie. „Sam się zrobiłem“ — przechwalał się Pontano.

Z takiego dobrego mniemania o sobie, o swojej sile musiał wykwitnąć kult człowieka. I wykwitł. Nawet szlachetnego mistyka Renesansu, hr. Jana Pico della Mirandola, poniosła pewność siebie wyzwolonego z pęt autorytetu człowieka. „Urodziliśmy się w tych warunkach, że możemy zrobić z siebie wszystko, co tylko chcemy“ — przechwalał się. Prześcignął go jeszcze w zarozumiałości renesansowej jego przyjaciel, platonista, Marsilio Ficino, tak samo czystej duszy, jak on. Pisał on w swojej „Teologii Platńskiej“: „Człowiek wierzy w niebo i ziemię, bada głębie Tartaru; niebo nie wydaje mu się zbyt wysokiem, wewnątrz ziemi zbyt głębokiem. A ponieważ poznał porządek niebios i Tego, co je wprawia w ruch, i miary ich i owoce, któżby chciał przeczyć, że posiada jakby ten sam geniusz, jaki posiada Stwórca niebios, i że mógłby w pewnej mierze stworzyć sam niebios? Człowiek nie chce wcale przełożonego lub równego sobie. Nie znosi on, aby ponad

nim istniała jakaś władza, z którejby jego wykluczono. Stara się o to, aby mógł rządzić wszędzie i być wszędzie chwalonym. I stara się być wszędzie jak Bóg i istnieć zawsze, jak Bóg“.

Renesans ubóstwiał człowieka, posadził go na ołtarzu, zrównywał go z Bogiem.

Źle zrozumiany indywidualizm przewrócił ludziom Renesansu w głowie, jak odgrzewana mądrość literatury starożytnej przewróciła w głowie humanistom. Robią oni wrażenie niewolników, którzy, wydostawszy się z pod jarzma, stracili z wielkiej uciechy przytomność, rozum. Bogami się mianowali, a byli tylko ułomnymi, słabymi ludźmi, ograniczonymi w swojej możliwości, w swoich pragnieniach i rozpędach, zależnymi od niezmiennych praw natury. Z Bogiem się równali, nad niebem i piekłem chcieli panować, a myśleli właściwie tylko o tem, jak użyć najobficiej rozkoszy zmysłowych, jak żyć przyjemnie, dostatnio.

By napić się do syta nektaru zmysłów, było im za mało buntu przeciw autorytetowi Kościoła i państwa. Były jeszcze inne autorytety, które im zawadzały w pogoni za „szczęściem ziemi“.

Zawadzał im autorytet rodziny, ustanowiony przez „drewnianą Rome“, a uświę-

cony przez Kościół. Obalili go. Powaga rodziny przestała istnieć w Renesansie. Syn nie uważał za potrzebne szanować ojca, córka matki. Dzieci Renesansu były przecież mądrzejsze od rodziców, co powtarza się zawsze w chwilach wywrotowych. Aeneasz Sylwiusz drwił cynicznie ze swojego starego ojca, gdy mu ten zwracał uwagę na jego zbyt wesołe życie. Drwili także inni luminarze owego czasu z powagi rodzicielskiej.

Nie tylko nie szanował syn ojca, lecz bywało nawet, że łączył się z jego wrogami przeciw niemu. Ludwik Gonzaga walczył w wojsku Viscontiego przeciw swojemu rodzicowi. Kondotierowie mordowali ojców, stryjów, braci, krewnych, gdy im przeszkadzali w osiągnięciu władzy. Historia nowych książąt włoskich ocieka krwią członków ich rodów.

Związki rodzinne przestały istnieć w Renesansie. Stargał je brutalny egoizm, który się nazwał Bogiem.

I przestała także istnieć czystość małżeństwa, wyniesionego przez Kościół do wyżyn sakramentu. Miejsce jego zajęła t. zw. wolna miłość, nie krępująca swawoli zmysłów, czyli rozpusta seksualna.

Wawrzyniec Valla pisze: „Jest rzeczą

obojętną, czy się kobieta łączy ze swoim mężem, czy też z kochankiem“. Aeneasz Sylwiusz odpowiada ojcu na jego karcące uwagi: „Nie widzę, dla czego uprawianie wolnej miłości miałoby być potępienia godnym. Natura przecież, która nie błądzi wszczepiła te apetyty wszystkim stworzeniom w celu podtrzymania gatunku“. L. Tansillo uczył: „Małżeństwo trzeba zawierać tylko na pewien przeciąg czasu, mianowicie na tak długo, dopóki się żona nie sprzykrzy mężowi“.

Mimo tego, „wyzwolenia się z podjarzma legalnego małżeństwa“ nie zmniejszyła się liczba ślubów kościelnych. Ubiegała się o nie głównie kobieta. Nie dla tego, żeby chciała błogosławieństwem Kościoła uwieńczyć szczerą miłość, lecz dla tego, że jarzmo legalnego małżeństwa wynagradzało ją legalnym dzieckiem i trwałem, bezpiecznym schroniskiem na całe życie. Kochanki bardzo łatwo się pozbyć, żony trudniej, gdyż broni jej Kościół i prawo.

Dla praktycznej Włoszki Renesansu było małżeństwo przedsiębiorstwem, jako każde inne, — dobrym lub złym „interesem“. Dobrym interesem nazywała związek z mężem bogatym albo zajmującym jakiś wyższy urząd, złym wspólne legalne pożycie z ja-

kimś biedakiem, choćby go namiętnie kochała. Dobry „interes“ dawał jej wygodny dom, służbę, dostatek, bogate stroje i stanowisko w towarzystwie — zły tylko upojenie miłosne na jakiś czas, a potem nędzę i poniewierkę.

Praktyczna Włoszka Renesansu lubiła miłość, ale nie wierzyła w jej trwałość. Według niej gasła miłość szybko w małżeństwie. Urok miała dla niej tylko „wolna miłość“, która nie obowiązuje do niczego. A o „wolną miłość“ było mężatce bardzo łatwo, bo mężowie są tak naiwni, tak wierzący w cnotę swoich żon, iż nie trudno ich wywieść w pole. Noweliści renesansowi bawili, jak wiadomo, siebie i swoich czytelników naiwnością zdradzanych mężów i niezwykłą przebiegłością zdradzających żon.

Rajem dla wolnej miłości, bękartów, nierządnic i grzechów sodomskich był Renesans. Setki dzieci nieprawych mieli możni panowie (np. Estowie), dziesiątki literaci (np. Poggio). Tysiące nierządnic sprzedawały się w wielkich miastach. Wenecja liczyła ich w r. 1490 aż 11.650. Cortegiane'ami, dworzankami, je grzecznie nazywano, nie ukrywając wcale blizkich stosunków z niemi.

Niektóre z nich piękniejsze, zręcznie-

sze, umiejące przywabiać możnych panów i bogatych bankierów, zarobiły sobie całe wory dukatów, żyły dostatnio, bogato, mieszkały w pałacach, miały liczną służbę, konie, jeździły powozami, zdobiły się od góry do dołu drogiemi kamieniami, otwierały salony, w których bywały najświetniejsze osobistości. Rzymskie kurtyzany Imperia i Tullia d' Aragona rywalizowały popularnością, rozgłosem z panującemi księżnemi i najświetniejszymi literatami i artystami.

Dostęp do ich salonów był bardzo trudny. Nie każdego przyjmowały, kto się do ich domu dobijał. Nadzwyczajnych hołdów żądały. Klęczeć musiał przed niemi, całować ich stopy, kto chciał zdobyć ich łaskę. „Wielce szanownemi, czcigodnemi madonnami“, nazywano ich w listach, co poświadczają listy Andrzeja Calmo, słynnego aktora i komedyopisarza weneckiego (* 1510, † 1571 r.).

Nie sromano się przyjmować głośnych kurtyzan na dworach książęcych. Nie tylko nie zamykano przed niemi bram zamków, lecz zachwycano się niemi.

Kiedy Tullia d' Aragona raczyła odwiedzić dwór ferraryjski, olśniła do tego stopnia swoją urodą i swojemi talentami starych i młodych lowelasów, iż przewróciła

wszystkim w głowie. Nieznany autor, podpisujący się pseudonimem „Apollo“, donosił z powodu jej wizyty mantuańskiej margrabinie, Izabelli d'Este (13 czerwca 1537 r.): „Przybyła tu bardzo miła dama, tak takto-wna w swoim zachowaniu, tak pociągająca swojemi manierami, że nie można się powstrzymać, by nie znaleźć w niej czegoś boskiego. Śpiewa ona wszelkiego rodzaju pieśni, jej konwersacya odznacza się nieporównanym wdziękiem, wie wszystko, można z nią mówić o wszystkim“.

„Boskość“ odnajdywał Renesans w nierządnicach, gorzko płakał po ich śmierci. Kiedy Imperia zamknęła swoje piękne oczy (um. 15 sierpnia 1511 r. w 26-tym roku życia), żałował jej Rzym, jak się żałuje kogoś bardzo zasłużonego. „Wszystkich wzruszyło odejście z nad brzegów Tybru tej młodej boskości — płakał Vitali — wszystkich i wszystko aż do starych barbarzyńskich murów“. Rafael wymalował jej portret.

Głośniejsze, bogatsze kurtyzany odgrywały rolę wielkich dam i były za takie uważane. Proszono je na świetne zebrania jako dekoracye salonów.

Oprócz lwic nierządu, wylicza historia długi szereg uwielbianych w wieku XV

i XVI kurtyzan. Livia, Azalina, Weronika Franco, Kamilla z Pizy, Aleksandria z Florencyi, Beatryca z Ferrary, Orsola Maria, Teresa de Lavorgnano i inne były na ustach wszystkich. Niektóre z nich, ocierające się o poetów i literatów, zabawiały się w literatki. Imperia i Weronika Franco zostawiły po sobie kilka ładnych sonetów. Orsola Marya i Teresa z Lavorgnano uprawiały epistolografię.

Ludzie Renesansu byli do tego stopnia pobłażliwi dla nierządu, iż nawet takie czyste i uczciwe natury, jak Wiktorya Colonna i Michał Anioł, odzywały się o nich życzliwie. Michał Anioł dedykował im swoje sonety.

Cóż uwielbiali ci „nowi ludzie“ w kurtyzanach? Piękno ciała uwielbiali jako estetycy, wolną miłość uznawali jako zmysłowcy.

Odżyły czasy Alcybiadesa. Miał także Renesans włoski swoje Aspazye i Fryny, kochane, uwielbiane więcej od uczciwych, wiernych żon.

Temu gospodarstwu nierządnic położył koniec Papież Leon X, wypędziwszy je z Rzymu.

Zmieniły się pojęcia, zwyczaje i obyczaje Włochów. Z tej zmiany skorzystały

najwięcej kobiety.

Aż do Renesansu stała kobieta na uboczu, zamknięta w czterech ścianach ogniska domowego. Żona, matka, gospodyni nie wpływała jawnie na sprawy publiczne, nie wysuwała się do przodu. Ojcowie Kościoła i pisarze świeccy nie przyznawali jej równouprawnienia z mężczyzną. Byli nawet tacy, co jej wprost nienawidzili, powtarzając za Katonem, że gdyby płeć męska istniała sama (bez kobiety), możeby mogła rozmawiać z bogami. Petrarca, taki niby zakochany w Laurze, mówi o swoich „Listach“: „Kobieta jest prawdziwym djabłem, wrogiem pokoju, źródłem niecierpliwości, przyczyną kłótni“ (foemina, verus est diabolus, hostis pacis, fons impatientiae, materia iurgiorum). „Czemże jest kobieta, pytam, jeśli nie wyzyskiwaczką młodzieży, mężów rabusem, starców śmiercią, ojcowizny pożera-czką, gubicielką honoru, paszą djabła, drzwiami śmierci, piekła dopełnieniem? (iuventutis expilatrix, virorum rapina, senum mors, patrimonii devoratrix, pabulum diaboli, janua mortis, inferni supplementum) — twierdził Aeneasz Sylwiusz. „Zarówno dobra jak zła kobieta chcą bata“ — doradzał Franco Sacchetti. (Buona donna é cattiva donna vuole bastone). „Wszystkie kobiety

są waryatkami — (tutte sono pazze e piene di pulce le femine) — drwił Leon Baptysta Alberti. Ludwik Ariosto nazywał żonę w swoich satyrach „niebezpiecznym, dużym dzieckiem, któremu mąż musi umieć kierować“. Nawet malarze wtrącali swoje trzy grosze do polemiki przeciwnieściej. Malarz Cemuno Cennini († 1440) odmawiał w swoim studyum pt. „Tratato della pittura“ kobiecie dobrze zbudowanego ciała, dowodził, że w jej ciele niema ani jednej doskonałej linii.

Kobieta Renesansu nie zwracała uwagi na swoich licznych krytyków, sędziów, drwiarzów i paszkwilistów. Zmiarkowawszy, że przewrót pojęć wysunął na pierwszy plan zabiegów ludzkich namiętność używania życia, a w tem „szczęściu ziemskim“ wyznaczył pierwsze miejsce miłości seksualnej, wyzyskała skwapliwie swoją przewagę w rzeczach miłości. Była przecież z natury najpojętniejszą uczennicą Amora, urodzoną mistrzynią w wabieniu t. zw. płci mocnej i braniu za łeb „pana świata“, bezsilnego w pętach pożądań zmysłowych.

Stała się zresztą niezbędną w towarzystwie, w „świecie“, jakbyśmy się dziś wyrazili. Rozbawiony Renesans, twórca nowoczesnego towarzystwa, zebrań, balów,

nowoczesnego teatru i koncertu, szalejący w karnawale, musiał dopuścić kobietę do tych wszystkich rozkoszy, bo czem byłyby bez niej zabawy?

Trzymana dotąd w gineceum, w pokoju dziecięcym, w kuchni, weszła kobieta do „salonu“, a weszła strojna, elegancka. Dawne suknie z grubych tkanin swoich babek i prababek zamieniła na jedwabie, aksamity, brokaty adamaszki i koronki; skrzynie swoje i szafy wypełniła stosami gałganków, błyskotek i cienkiej, wykwińskiej bielizny. Obwieszała się perłami, szafirami, rubinami, suknie pstrzyła złotymi spinkami, zimą ubierała się w sobole i gronostaje. Beatrycza Sforza zużyła w przeciągu dwóch lat 84 bardzo bogatych sukien. Hipolita Sforza nosiła suknie wartości ćwierć miliona skudów. Toalety Izabelli d'Este, „królowej mody“ Renesansu, rządnej, mądrej gospodyni, świeciły setkami złotych guzików.

Zbytek wypędził z zamożniejszych domów skromne żądania kobiety. Żony uboższych mężów, wślizgujące się do „towarzystwa“, rujnowały mężów swojemi wymaganiem. Leonard Bruni skarżył się, że kilka dni, spędzonych z żoną, pożarły cały jego majątek.

Weszła kobieta do „salonu“ strojna i wiecznie młoda. Co nadgryzły, zepsuły lata, lub choroby, musiały naprawić młode koafiury, proszki, olejki pachnące maście, wody, eliksiry, pudry, wszelkiego rodzaju kosmetyki.

Kobieta Renesansu nie chciała się starzeć, miała wstręt do starości, tak samo jak kobieta współczesna. Staruszka ubierała się z kokieteryą panny lub młodej mężatki, odślaniała swoje zwiędłe, maściami wygładzone wdzięki. Biada temu, ktoby się ośmielił liczyć jej lata. Oczy by mu była wydrapała. Najstarsza nie przekraczała nigdy trzydziestego roku życia. Młodsze miały zawsze około dwudziestu lat. Serca ich i pożądania seksualne nie stygły nigdy. Lucrecyja d'Este miała jeszcze młodego kochanka, zbliżając się do pięćdziesiątki.

Młoda matka starała się różnymi środkami utrzymać smukłość talii, lekkość ruchów. W tym celu, jak poświadczają lekarze owego czasu, piła ocet, jadła chude mięso, tańczyła jak najwięcej.

Strojna i wiecznie młoda dama, chcąc błyszczeć w „salonach“, brać żywy udział w dysputach uczonych, olśniewać towarzystwo swoją mądrością, znajomością mło-

dych autorów klasycznych i różnymi talentami, uczyła się języka łacińskiego i greckiego, śpiewu, muzyki, deklamacyi, tańca, a chcąc dowieść płci mocnej, że dorównywa jej zręcznością i odwagą, jeździła konno, brała udział w polowaniach. Lubiła, kupowała chętnie książki, jak je lubiła i kupowała cała inteligencya jej epoki. Młode damy z wielkiego świata (Lukrecya Borgia, Hipolita Sforza i inne), udając się do zaślubionych mężów, wiozły z sobą zawsze biblioteczki (Ewangielie, Liwiusza, Wirgila, różne kancony).

Upodobanie do książek wyrobiło w kilku kobietach pociąg do pióra literackiego. Historya literatury włoskiej zapisała w swojej księdze kilka nazwisk niewieścich, ale tylko jedno z nich przetrwało próbę czasu. Wieki przeszły po Isocie Nogaroli, przyjaciółce Guarina, stopą obojętną, pokryły prochem zapomnienia Wenecyankę Kasandrę Fedele (ur. 1455 † 1558) i inne autorki kancon i sonetów. Jedna tylko Wiktorya Colonna wytrzymała jako niezwykle utalentowana poetka krytykę wieków i ostała się na piedestale niegasnącej sławy.

Znalazły się także dwie kobiety, próbujące swoich sił na polu sztuki: Katarzyna de Vrigi († 1463) i Propercyja Rossi († 1530).

Urodą, wdziękiem, wykształceniem naukowym i miłością zdobyła sobie kobieta Renesansu rodzaj równouprawnienia z mężczyzną. Nie było to równouprawnienie polityczne, do którego dążą współczesne feministki (sufrażystki), lecz tylko towarzyskie. Jak na początek, posunęły się o cały krok naprzód.

Odnosi się to oczywiście tylko do kobiet wyższych i oświeconych sfer. Wielkie masy mieszczaństwa i ludu wiejskiego, nie biorące udziału w ruchu humanistycznym i renensansowym trzymały się starych tradycji rodzinnych.

Emancypowane damy znalazły swoich obrońców i chwalców. Najwięcej w wieku XVI. Bronili stanowiska społecznego i czci kobiety: Mikołaj Zoppino (1506 r.) Ludwik Martelli (1537 r.), Domenico Bruni (1552 r.), Dardano (1554 r.), F. Lugini (1544 r.), Portio, Lando, Benedykt de Cesena, Capella, Firenzuella, Nifo, kardynał Pompeo Colonna i inni.

Najzarliwiej zajęła się rehabilitacją kobiety Krystyna de Pisan (ur. 1363), córka słynnego astrologa bolońskiego, Tomasza Pisano, wezwanego w r. 1368 przez króla Karola V na dwór paryski. Przebywając od lat dzieciennych w Francji, zawładnęła Kry-

styna językiem francuskim tak doskonale, że posługiwała się nim w swoich dziełach.

Historya literatury nazywa ją feministką XV stulecia. Broniła ona w istocie kobiety w swoich głównych dziełach: „La Cité des dames“ i „Livre des trois vertus“, napisanych między r. 1404 a 1410, ale broniła jej takimi argumentami, na jakie się emancypantki renesansowe nie mogły zgodzić. Wprawdzie przyznaje ona kobiecie równość z mężczyzną w inteligencji i równość natury, pochodzenia i przeznaczenia, ale żąda od niej czystości etycznej, umiarkowania w jedzeniu i picciu, skromności w strojach, oszczędności, czci dla prawowitego małżeństwa, uległości w stosunkach z mężem, cierpliwości i łagodności na wypadek, gdyby ją los złączył z człowiekiem gwałtownym, a nawet brutalnym, — czyli przymiotów, jakich się właśnie emancypantka i indywidualistka renesansowa z wielką przyjemnością wyzbyła.

Na wskroś uczciwą, czystą w życiu była Krystyna de Pisan i żądała, aby wszystkie kobiety szły tą samą drogą.

III.

Rozbawiony indywidualizm Renesansu podminował patryotyzm, rodzinę, małżeństwo, zwyczaje i obyczaje „wielkiego wieku“ i potrafił w swoim rozmachu wywrotowym także o Kościół.

Nicby nie było dziwnego, gdyby inteligencja włoska XV i XVI wieku, prześląkła pojęciami literatury pogańskiej i rozkochana w pełnym życiu zmysłowym była się odwróciła od chrześcijaństwa wręcz przeciwnego jej pojęciom i namiętnościom. Ale tego nie chciała i nie uczyniła (z nielicznymi wyjątkami). Została katolicką.

Natomiast opluła ona jadowitą śliną bezwzględного krytycyzmu, ocierającego się o paszkwil, kler świecki i zakonny, nie szczędząc kardynałów, a nawet samych papieżów.

Rozprzegający pojęcia dawnych czasów ruch wywrotowy wpłynął w istocie ujemnie także na duchowieństwo. I ono było produktem swojej epoki i ono uległo roz-

kładowi etycznemu odświeżonych tradycyi pogańskich. Większa przecież część humanistów, począwszy od Petrarcki, należała do stanu duchownego. Watykan roił się od humanistów, potrzebnych mu w kancelaryach.

Kler oświecony XV i XVI stulecia odbiegł we Włoszech daleko od swojego posłannictwa, zeświecczył się, dał się unieść prądom chwili. Nie odnosi się to oczywiście do całego duchowieństwa włoskiego, jak nie odnosi się do całej inteligencji w ogóle. Zawsze i wszędzie są wyjątki, świecące cnotą i szczerą bogobojnością.

Kler zaczął się psuć od góry. Dziewięciu papieżów wieku XV-go: Marcin V (1420—1431 r.), Eugeniusz IV (1431—1447), Mikołaj V (1447—1455), Kalikst III (1455 do 1458), Pius II (1458—1464), Paweł II (1464—1471), Sykstus IV (1471—1484), Innocenty VIII (1484—1492) i Aleksander VI (1492—1503) zajmowało się wszystkim innem chętniej, aniżeli sprawami Kościoła. Mikołaj V był zaciekłym bibliomanem i budowniczym; wolał rozmawiać ze swoim antykwaryuszem, Vespazyanem, o książkach, z architektami o nowych budowlach, niż z kardynałami o tem, o czem był powinien. Paweł II, zbieracz numizmatów i drogich

kamieni, zapominał nad swoimi zbiorami o obowiązkach Papieża. Pius II, utalentowany literat i niezwykły znawca ludzi, czuł się najszcześliwszym na wsi, na łące, nad strumykiem, w otoczeniu uczonych prałatów. A wszyscy myśleli tylko o tem, jak zubożać i posadzić na jakimś tronie książęcym swoich krewniaków (nepotów).

Papież XV-tego stulecia przestał być pasterzem wiernych, a stał się albo uczo-
nym, albo mecenasem literatury i nauki,
albo zbyt hojnym dobrodziejem swojej ro-
dziny, albo politykiem.

„Pamiętaj o tem, — pisał do Sykstusa IV. ksiądz Marsilio Ficino — że jesteś wikaryuszem Chrystusa, pełnego dobroci i słodczy. Boskie państwo oddał ci Chrystus, państwo dusz a nie miecza. Klucze ci wręczył, a nie hełm i szpadę. I nie dał ci różgi, abyś chłostał owieczki zbłąkane, lecz słodkie słowa ci dał, abyś za ich pomocą wprowadził owieczki do owczarni. Nie żołnierzem zrobił cię Bóg, jeno pasterzem. A twoje stado, o pasterzu, leży daleko od twojego wzroku, rozproszone po lasach i skałach. Gdybyś zechciał spojrzeć okiem na swoje stado, nie mógłbyś patrzeć suchemi oczami na tak wielką jego ruinę. O boleści, twoja owczarnia jest dotknięta wszelkiemi

chorobami i nieszczęściami. Wszędzie oskarża się pasterza, wszędzie się nim pogardza. Wymaż, wymaż z księgi hańby swoje nazwisko, które Bóg zapisał w księdze życia“.

Napomnienie Ficina, posłane Sykstusowi IV, błędnie wobec tego, co mówili o najwyższej władzy kościelnej inni pisarze. Poggio, Lapo de Castiglionchio, Accolti, Leon Baptista Alberti, Wawrzyniec Valla, Pontano i wielu innych bezczęścili kler z całą bezwzględnością nienawiści i pogardy. Wtórował im legion epigramatyków, farsistów, drwiarzy. W polemice tej brali udział duchowni. „Narazisz syna swojego na wielkie niebezpieczeństwo, oddając go do szkoły kleru — pisał kardynał Jan Dominici w swojej książce pedagogicznej (*Regola del governo di cura familiare*), — nie wiele się u nich nauczy. Niegdyś wychodzili z ich szkół dobrzy synowie i dobrzy ludzie. Dziś to wszystko zło“. „Ojcowizną kościoła jest jednanie sobie dusz — uczył kardynał Julian Cesarini. — Kościół nie jest kupą kamieni i murów. Chrystus nie uczynił was stróżami fortec i obozów“.

Najnamiętniej, najbezwzględniej miotał się na władze kościelne Wawrzyniec Valla, kanonik, członek kuryi rzymskiej. Tak się

rozmachał, iż odmawiał Kościołowi wprost prawa do panowania świeckiego. Bezwzględnością w krytyce papieżstwa (Aleksandra VI) przewyższył go Hieronim Savonarola, Dominikanin.

Najgorzej na tej walce Renesansu z klerem wyszły zakony, męskie i żeńskie. Nie było tej zbrodni, którejby „nowi ludzie“ nie zarzucali mnichom i mniszkom. Na wołowej skórze nie spisałoby się wszystkich obelg, oskarżeń, oszczerstw, ciskanych na zakonników.

Karność zakonników rozluźniła się w istocie w XV i XVI stuleciu, ale cóż się w owym czasie nie rozluźniło?

Zarzucono klerowi: chciwość, karyerowiczostwo, pychę i rozpustę. Ale te same zarzuty cisnął początek XVI stulecia w twarz humanistom, odwracając się od nich z pogardą.

Mówiąc o klerze Renesansu, nie można go wyodrębnić, odcinać od reszty narodu. Dzieckiem i wychowañcem swojego czasu był, za prądem chwili biegł, szamocąc się w wirach tego prądu, jak się szamotali wszyscy inni oświeceni. Zeświecczył się, rozmyślał, rozbawił.

Kardynałowie nie byli kapłanami, lecz magnatami w sutannie. Dochody mieli ogro-

mne z różnych biskupstw. Mieszkali we wspaniałych pałacach, otoczeni setkami dworzan, możniejsi od książąt panujących. W purpurę, złoto, brylanty się stroili, zabawiali się w mecenasów sztuki i literatury, ogrywali się wzajemnie w karty, polowali, dosiadali koni bojowych, zamiast pilnować ołtarza. Jakże ci wielcy panowie kościelni mogli być dobrymi kapłanami, kiedy nie cnota i zasługa, lecz protekcya, pochodzenie, albo pieniądze ubierały ich w czerwony kapelusz? Nieletnich chłopców przyjmowano do św. Kolegium, jeśli należeli do możnych domów (Hipolit d'Este, Jan dei Medici, Cezar Borgia i inni).

Zdawałoby się, że tak możni panowie, rozporządzający środkami poskromienia niewygodnych krytyków (oprócz pieniędzy mieli jeszcze władzę i klątwę), usuną ze swojej drogi nieproszonych mentorów. Tymczasem miała się rzecz wręcz przeciwnie. Nie tylko nie mścili się władcy Kościoła, lecz bawili się wybornie złośliwością napastników. Najwięcej z papieżów opluty Aleksander VI odczytywał z przyjemnością paszkwile i gorzkie dowcipy, sypiące się zewsząd na niego, śmiał się z nich do rozpuku.

Renesans lubił się śmiać, drwić, prze-

drzeźniać. Florencya i Rzym celowały w tej igraszce pieprznych lub złośliwych słów. Zły język ma Florencya, mawiano.

Zdawałoby się, że Rzym powinien być być najwrażliwszym na obelgi. Tymczasem był on najpobłażliwszym dla swoich oczer-niaczów. Zjadliwy Filelfo, bluzgający na prawo i lewo gryzącą śliną, przebywał najchętniej w Rzymie, bo „panuje tu wolność nie do uwierzenia“ (*incredibilis quaedam hic libertas est*). Nigdzie nie było takiej tolerancji dla różnych pojęć, jak w stolicy papieżstwa. Odważniejsi, śmielsi uciekali przed tyranią kondotierów nad Tyber, pod skrzydła Kuryi. Taki Valla n. p. powinien był za swoje heretyckie dzieła spłonąć na stosie, a on ruszał się swobodnie w Watykanie, czytany chętnie, oklaskiwany przez prałatów Kuryi. Szczekaczem, opluwaczem, paszkwilistą był z temperamentu. Kiedy umarł, powiedział o nim ktoś dowcipny: nie może już kąsać ludzi, będzie teraz kąsał ziemię. Każdego, kogo spotkał ten człowiek, musiał ugryźć, a mimo to, żył w Rzymie bez żadnej przeszkody.

W Rzymie panowała tolerancja. Jedyny tylko Cezar Borgia był innego zdania. Ujętym paszkwilistom kazał ucinać ręce i wrywać języki.

Bezwzględni byli władcy Rzymu tylko wobec tych, którzy zagrażali ich stanowi posiadania. Zuchwałym kondotierom, wdzierającym się do ich dzierżaw, umieli obrzydzić zaborcze apetyty.

Nikt nie nawymyślał tyle Aleksandrovi VI, jak Hieronim Savonarola, a dopóty poruszał się w granicach religijnych i moralnych, nie grożono mu karami. Dopiero, kiedy mu się zachciało polityki i oderwania Toskanii od Kościoła rzymskiego, zapłacił życiem za ten bunt przeciw władzy.

Atakując kler, nie mieli pisarze włoscy XV stulecia zamiaru burzyć podwalin Kościoła. Przeciwnie! O wzmocnienie tych podwalin im chodziło, jak zapewniali, o moc i chwałę Kościoła. Opluwając kler, mniemali, że nawrócą go w ten sposób na drogę właściwą, oczyszczając go z brudów epoki.

Złą metodę wybrali. Bowiem powinni byli zacząć „odrodzenie“ od siebie. Sami chciwi złota i sławy, sami nadmierni używacze życia, babrający się w kale rozpusty, powinni się byli nasamprzód oczyścić z brudów ziemskich, jak to uczynili Grzegorz Correr, Maffeo Veggio, Marsilio Ficino, hr. Jan Pico della Mirandola i inni, zanimby się zabrali do czyszczenia kleru. I nie

zrozumieli, że ujadanie krytyczne nikogo jeszcze nie nawróciło, nie odrodziło. I nie chcieli rozumieć, przyznać się, że oni to rzuciwszy na rynek myśli bezkrytycznie całą spuściznę umarłego poganizmu, byli mimowolnymi twórcami demoralizacyi swego czasu.

Zrozumieli to za nich inni, a ci inni należeli właśnie do kasty, którą oni z taką pogardą zwalczali. Mnisi, zwani pokutnymi, żarliwi kapłani, znakomici kaznodzieje, prawowierni chrześciance: Jan Dominici, Jan da San-Miniato, fra Antonio da Bitonto, Jan da Prato, Bernard da Siena i długi szereg innych aż do najzdolniejszego, najśmielszego w ich gromadzie, Hieronima Savonaroli, odgadli, odczuli pierwsi rozkładową robotę humanizmu. „Cała ta nauka — wołał na kazalnicy Jan San-Miniato — jest nietylko próżnością i próżnością próżności, ale w ustach ucznia Chrystusowego jakoby bluźnierstwem i kultem bożków. Jak straszliwe potwory, płami ta uczoność ducha, rozprzega obyczaje i niszczy swoją trucizną wszystko, co masz dobrego w sercu“.

„Dzieci stają się prędzej poganami — mówił Jan Dominici — niż chrześcianami i nazywają Bogiem nie Ojca, Syna i Ducha Świętego, lecz Jowisza albo Saturna, We-

nerę albo Cybełę, z czego wynika, że prawdziwa wiara jest w pogardzie, Bóg wykreślony, prawda zapoznana, grzech ustalony, co potwierdzają kazania księży, wychowanych w mądrości pogańskiej, w ustach których tańczą pogańscy filozofowie, poeci i pogańskie bajki, zamiast prawd Ewangelii“.

Dominici nie zmyślał. Wiadomo, że wykształceni humanistycznie kaznodzieje XV w. naszpikowywali swoje kazania cytatami z dzieł greckich i rzymskich, powoływali się na sentencje starożytnych, chętnie się w ten sposób swoją uczonością. Byli nawet tacy, co wykładali z ambony Homera, Platona, Cycerona i Wirgiliusza.

Bardzo słusznie grzmiał Savonarola w katedrze florenckiej, iż niema potrzeby uczyć się rozumu koniecznie tylko z wzorów i dzieł starożytnych, bo czasy nowe mają inne pojęcia, inne potrzeby i cele, inną wiarę i kulturę.

Działalność mnichów pokutnych nie mogła się oczywiście podobać humanistom, tak pysznym ze swojej uczoności. Więc wylali na ich głowy kubły pomyji polemicznych, odpowiadali im tak bezwzględni obelgami, iż trudno je powtórzyć.

Z tej nienawiści oświeceńców do chrześcijańskiego kleru musiało z czasem

trysnąć także lekceważenie ołtarza, któremu ten kler służył. Znalazło się w istocie kilku jawnych wolnomyślicieli, a nawet cichych ateuszów. Ale było ich niewielu.

Codrus Urcea, podrzędny filozof, uczył, iż „wszelkie nauki o tamtym świecie są tylko środkiem do straszenia starych bab“, co mu wcale nie przeszkadzało uwierzyć w duszę nieśmiertelną i wezwać kapłana, gdy mu śmierć zajrzała w oczy.

Lekarz Gabryel de Salo z Bolonii, twierdził, że „Chrystus nie był Bogiem, lecz zwykłym człowiekiem, że religia chrześcijańska nie długo ustanie i t. p.“ Za tę swoją mądrość byłby niewątpliwie ciężko odpokutował, gdyby go mocne ręce możnych protektorów nie były wydobyły z więzienia inkwizycji (1497 r.).

Pomponazzo wydał w roku 1516 dzieło, w którym twierdzi, że „nie można filozoficznie udowodnić nieśmiertelności duszy“.

Sprawa nieśmiertelności czy śmiertelności duszy była niewątpliwie w początkach XVI stulecia „kwestyą popularną“, kiedy papież Leon X uważał na soborze lateraneńskim (1513 r.) za potrzebne ogłosić konstytucję, broniącą nauki o nieśmier-

telności i indywidualności duszy przeciw panteistom.

Kiełkowała w Renesansie niewiara, ale kiełkowała tylko. Tu i owdzie odzywał się jakiś ukryty ateusz, ale odzywał się po cichu, nie mając odwagi narazić się na gniew Kościoła. Jeszcze nie straciły pionierzy klątwy swojej mocy. Tylko kondotjerowie, ufając sile swojej pięści, wygłaszali jawnie, co myśleli. Braccio de Montone „nie wierzył ani w Boga ani w djabła“, Zygmunt Malatesta z Rimini wykrzykiwał swoje bluźnierstwa na rynku.

Powstała w bractwie literackim Renesansu grupa mężów, która usiłowała pogodzić chrześcijaństwo z pogaństwem. Gracie tej przewodzili ksiądz Marsilio Ficino, żarliwy platonista i hr. Jan Pico della Mirandola, polihistor, poliglota i mistyk. Siedziskiem jej była Florencya (pod koniec XV stulecia), ogniskiem „akademia platońska“, mecenasem Wawrzyniec de Medici, zwany Wspaniałym.

Próba platonistów pojednania świata pogańskiego z chrześcijańskim okazała się bezpłodną zabawką, spełzła na niczem. Przekonawszy się, że trują się daremnie, wrócili Ficino i Pico do katolicyzmu. Platon nie zastąpił im Chrystusa.

Chwiała się dusza Renesansu między wiarą a niewiarą, między chrześcijaństwem a pogaństwem, nie wiedząc, dokąd się zwrócić. Przesiała z jednej strony katolicyzmem, w którym się urodziła i wychowała, z drugiej upojona, odurzona greckorzymskim kultem ciała, łaskocącym zmysły, szamotała się bezradna w ramach dwóch wręcz sobie przeciwnych światopoglądów.

Ta chwiejność, dwoistość duszy Renesansu, kołacącej się pomiędzy dwoma biegunami myśli ludzkiej, utrudnia odtworzenie jej wyraźnego, plastycznego obrazu. Epoką jednolitą, zwartą, nie jest Renesans. Robi on wrażenie gromady ptactwa, rozlatującego się na wszystkie strony. Pogaństwo i chrześcijaństwo, duch i zmysły, kultura i barbarzyństwo, cnota i zbrodnia, wolność i tyrania, pyszny indywidualizm i podła służalczość — wszystko to zmieszało się w jakąś chaotyczną całość, którą nie łatwo ogarnąć.

Dla pomnożenia tego chaosu pojęć przyczynia się jeszcze zabobonna dusza średniowieczna, której się Renesans nie umiał pozbyć. Niby oświeceni, niby racjonalisci, niby wolnomyśliciele, byli inteligentni Włosi XV i XVI wieku zabobonni, jak ciemny lud. Wierzyli we wszystkie możliwe

zabobony, gusła, demony, czarownice, a przede wszystkim w horoskopy astrologiczne.

Astrologowie: Ambroży Varese, Rafał de Vimercato, Mikołaj di Arago, Aleksander Banedella, Franciszek Montano, Paweł Toscanelli, Jan da Viterbo, Hieronim Manfredi, Gwidon Bonatti, Franciszek da Meleto, Łukasz Gauricus i żydzi Aron Challo i Mojżesz z Wenecyi, należeli do wybitnych osobistości swego czasu. Jednego z nich, bardzo zręcznego wróżbitę, Hermodorusa Spoletina, ustroił Ludwik Mora Sforza w koronę hrabiowską i obdarzył licznymi dobrami.

Prawie wszyscy kondotierowie i władcy Renesansu wierzyli świącie w przepowiednie gwiazdździarzy i stosowali się do nich. Bez horoskopu astrologa nie przedsiębrali nic ważniejszego. Nawet tak waleczny i rozumny wojownik, jak Guido de Montefeltre, radził się zawsze swojego astrologa, Gwidona Bonatti, zanim wyruszył na krwawą wyprawę. I papieże: Innocenty VIII, Juliusz II i Leon X mieli swoich nadwornych astrologów.

Tak wielkie znaczenie miała astrologia, iż wyniesiono ją do wyżyn nauki. Wykła-

dano ją w trzech uniwersytetach: w Bolonii, Medyolanie i Mantui.

Znaleźli się przeciwnicy tej zabawki wróżenia z konstelacyi gwiazd. Potępiali ją: Papież Pius II, Jan Villani, Mateusz Villani, Marsilio Ficino, B. de Imola, a głównie hr. Jan Pico della Mirandola, który w swojej polemice z astrologią, „Adversus Astrologos“, wydrwił i ośmieszył ich wróżby. Tak mocne były jego rozumne argumenty, iż astrologowie przestali swoje horoskopy ogłaszać publicznie.

Na nic jednak nie zdała się polemika z wróżbitami, trudniącymi się stawianiem horoskopów głównie dla zarobku. Inteligencja Renesansu nie przestała wierzyć w ich eksperymenty.

I jeszcze jedna przyczyna utrudnia odtworzenie wyrazistego obrazu Renesansu. Włochy były rozbite na takie mnóstwo państw i państewek, rzeczpospolitych i tyranii, na tyle „ojczyzn“, z których każda miała swój własny, lokalny patryotyzm, iż niewiadomo, w której stronie Italii należy szukać pełnej fizyognomii Renesansu.

IV.

By mieć wyobrażenie o duchu Renesansu, najlepiej przypatrzeć się ludziom, jakich wydał.

Nasamprzód wodzowie i władcy państw

Zgnuśniałe w dobrobycie miasta włoskie XV stulecia, a kłócące się bezustannie pomiędzy sobą, nie miały ochoty fatygować się trudem wojny. Drogiem im było zdrowieczko, drogiem przyjemne, wygodne życie. Zamiast bronić własną pierśią swojej ojczyzny, woleli jej losy oddać w ręce najemnych band, rekrutujących się ze śmieci ludzkich. Wyrzutki społeczeństwa: bandyci, rabusie, złodzieje, bezdomni, zbrodniarze, wypuszczeni z więzień, wszelakiego gatunku straceńcy i awanturnicy, nie wiedząc, co z sobą począć, gdzie się podziać, w jaki sposób zarobić na chleb, zaciągali się do band wojskowych. Prowadzili ich wodzowie, zwani kondotierami.

Nie z rycerstwa pochodzili ci kondotierowie, tradycyi rycerskich nie mieli w swojej krwi. Carmagnola pasał świnie, zanim został „jenerałem“, Gattamelatta był pieka-

rzem, Piccinino rzeźnikiem, Attendolo, twórca domu Sforzów, chłopem z romańskiej wioski Cotignola, członkiem rodziny na pół bandyckiej. Nawet nazwisk nie mieli ci wodzowie. Nazwiska, raczej przezwiska, nadawali im ich żołnierze. Attendola np. nazwali dla tego Sforzą, bo odznaczał się niezwykłą siłą.

Nie wielu z nich mogło się powołać na legalne pochodzenie. Bękartami byli: Franciszek Sforza, Zygmunt Malatesta, Alfons Aragoński i kilku Estów. Podwójnym bękartem, bo bękartem i synem bękarta, był Ferrante Aragoński. I niewielu z nich brało udział w ruchu umysłowym XV w. Attendolo Sforza umiał zaledwie czytać. Podpisywał się, jak dotąd ciemni chłopci, znakiem krzyża.

Od tych „jenerałów“ nie żądał nikt ani wiedzy, ani kultury, ani rycerskości. Wystarczyło, gdy posiadali siłę fizyczną, odwagę i zuchwalstwo. Ówczesna wojna nie wymagała jeszcze przygotowania teoretycznego. Czego kondotier potrzebował, tego nauczył się praktycznie w służbie polowej. Dzisiejszy doświadczony podoficer, wachmistrz, wie tyle, co on wiedział. Najzdolniejszych z pomiędzy nich: Biancarda del Verme'a, Cane'go, Broglię, Braccia da

Montone, Attendola Sforzę wymustrował Alberino da Barbiano, twórca kondotierstwa włoskiego.

Ci wodzowie nie służyli jakiejś idei, ojczyźnie, lecz tylko sobie. Bili się za żołd, za pieniądze tak samo, jak ich podwładni, bili się za kogoś, za sprawę, która ich osobiście nic nie obchodziła. Dziś za Florencję z Medyolanem, jutro przeciw Florencyi w służbie Medyolanu, pojutrze tłukli Florencję i Medyolan za Bolonię i tak dalej w kółko. Kto lepiej zapłacił, ten kupował na jakiś czas ich miecz z ich bandą. Wojna była ich rzemiosłem i jak rzemiosło ją traktowali. Żyjąc z niej, starali się ją przeciągać, o ile tylko się dało. „Milicya naszego czasu jest podstępna, przebiegła — powiada Aeneasz Sylwiusz — pojmuje ona wojnę, jak kupiec pojmuje handel i dla tego przeciąga ją, aby nie zbywało na żołdzie. Odwaga jest rzadką w bitwach“.

Kondotierowie oszczędzali siebie i swoich ludzi. Bili się tylko tyle, ile im to było potrzebne. Bywało nawet, że niby przeciwnicy żyli z sobą w zgodzie koleżeńskej, zmawiali się przed bitwą, jak się bić, aby nie stracić za wielu żołnierzy. W jednej z bitew pod Florencją zginął tylko jeden

najemnik, co potwierdza Mikołaj Machiavelli.

Od takiego wodza i takiego wojska nie można się było spodziewać jakiegoś bohaterstwa, honoru rycerskiego, porywów szlacheckich, poczucia obowiązku obywatelskiego, patriotyzmu, ofiary dla dobra powszechnego. Najmici to byli, legalizowani bandyci, przedajna, sprytna hałastrą, myśląca tylko o swoim brzuchu i o swoim trzosie. Uzbrojone chamy to były, łotrzykowie bez Boga, serca i sumienia.

Kondotier Braccio da Montone, urodziwy, silny chłop, bluźnierca, zabawiał się strącaniem jeńców z wysokich wież i zrzucaniem z mostu do rzeki gońców, którzy mu przynosili niekorzystne wiadomości.

Kondotier Zygmunt Malatesta († 1468), piękniejszy ciałem od Montona, gwałcił panny i kobiety zameżne, zamordowawszy ich mężów; zabierał bogatym ich mienie, ubogich uciskał, rozpinał na torturach, prześladował księży, chełpił się, że nie wierzy w nieśmiertelność duszy. Pierwszą żonę zabił sztyletem, drugą trucizną, a metresę swoją, Isottę, pochował w Rimini w kościele św. Franciszka z Asyżu, wystawiwszy jej wspaniałą pomnik, na którym kazał wyryć epigraf: *Divae Isottae sacrum*.

Kondotier Everso d'Anguillara zabijał niewinnych ludzi bez namysłu, rzucał się na swoich własnych synów ze sztyletem w ręku, fałszował pieniądze, udoskonalił narzędzia torturowe i chełpił się tak samo, jak Montone i Malatesta, niewiarą w nieśmiertelność duszy.

Ferrante Aragoński był ratinowanym mordercą i cynicznym rozpustnikiem. Umiał zabijać z uprzejmym uśmiechem na ustach, umiał się śmiać patrząc na konanie swoich ofiar.

Kondotierstwo było bardzo świetnym rzemiosłem. Wyrzucało ono odważnego i zuchwałego, albo przebiegłego, bezwzględnego żołdaka w krótkim czasie na najwyższe szczeble drabiny społecznej, dawało mu sławę, znaczny majątek, w końcu władzę, a z nią płaszczyk książęcy.

Nie wszyscy kondotierowie dotarli aż do tronu. Niektórzy z nich, jak Carmagnola, Piccinino i Vitelleschi zginęli przed dojściem do ostatecznego celu. Zabiła ich trwoga chlebowców, spoglądających podejrzliwie na ich rosnącą sławę. Carmagnolę skazała na śmierć Wenecja, skonfiskowawszy jego cały majątek (1432 r.), Cezar Borgia usunął z tego świata Vitelleschiego, Neapol Piccininę.

Ci jednak kondotierowie, którzy umieli być ostrożnymi, przebieglejszymi od swoich chlebowców, zmiarkowawszy, że odważny, szybki miecz bywa mocniejszym od bankierskich i kupieckich worków złota, nie czekali na krwawą „nagrodę“, jaka ich czekała, gdyby się zanadto wzmogli, lecz uprzedzali władze republikańskich miast, biorąc ich za łeb i rzucając pod swoje stopy.

W ten sposób powstałi nowi władcy, książęta i margradowie włoscy: Viscontio-
wie, Sforzowie, Gonzagowie, Bentivoglio-
wie, Baglionowie, Malatestowie, w części
także Estowie. Do tych nowych władców,
wyrosłych na kondotierstwie, przyłączyli
się kupcy florency, Medyceusze, i nepoci
papiescy (Riariowie, della Rovere, Piccolo-
miniowie i Borgiowie).

Nowi władcy znaleźli się w trudnem
położeniu. Nie poparli tradycją i powagą
starego rodu, parweniusze bez znanych
w kraju przodków, zawdzięczający swoje
trony i troniki tylko odwadze i zuchwałej
brutalności, wiedzieli bardzo dobrze, że te
trony i troniki chwiały się ciągle pod nimi,
gotowe każdej chwili runąć. Pierwszy lepszy
odważniejszy od nich lub przebieglejszy

kondotier mógł ich zepchnąć z wyżyn, na które się wdrapali.

W ciągłym strachu o swoją władzę i skórę, stali się podejrzliwi, skryci i chytry. Nie ufali nikomu. Ani swoim żołnierzom, ani dworzanom, ani nawet najbliższym krewnym.

Monseigneur — pisał Ludwik Moro Sforza do kardynała Askania Sforzy — wybacz mi, że ci nie ufam, chociaż jesteś moim bratem.

Położenie nowych władców odmalował doskonale mnich pokutny, Fra Bernardino, kiedy mówił: „Ten, kto stoi na wyżynach, drży wciąż ze strachu. Jedząc, obawia się trucizny i każe przed jedzeniem próbować dworzaninowi potraw i wina. Nie wierzy nikomu. Ani bratu, ani synowi, ani matce, ani żadnej wogóle kreaturze. Czy wstaje z łóżka, czy kładzie się na spoczynek, czy dosiada konia, albo przypina ostrogi, każe zawsze przedtem zbadać łóżko, konia, ostrogi.“

Wiadomo, że skrytobójczy sztylet i trucizna pracowały gorliwie w Renesansie. Znaną była powszechnie „woda“ Sforzów i znanym był biały proszek Borgiów. Pierwsza zabijała piorunująco, drugi wolno.

W ciągłej trwodze o swoją świetność

władca Renesansu posługiwał się podwójną bronią: jawnym gwałtem, bezwzględna pięścią albo podstępem. Wolał broń drugą (podstęp, rafinowaną chytryść, skrytobójstwo), którą można było zataić, zwalić na kogoś drugiego. Mistrzami w obłudzie, w kłamstwie, w subtelnych łamańcach politycznych, we wzajemnem oszukiwaniu się, byli książęta Renesansu. Pomógł im w wydoskonaleniu tej sztuki „dyplomatycznej” giętki a chłodny mózg włoski, więcej racjonalistyczny niż idealistyczny. Na nich to patrząc, na ich żonglerkę gabinetową i tyrańską bezwzględność, napisał Mikołaj Macchiavelli swoją osławioną książkę „O księciu”. Odtworzył on to, co widział, co przeżył, jako mąż stanu, poseł i ambasador florencki i jako niezwykle uzdolniony obserwator i psycholog.

Zwierzęca dzikość barbarzyńców i pycha parweniuszów zmieszały się ze strachem uzurpartorów („na złodzieju czapka gore”), z jego perfidią, chytryścią i adwokacką argumentacją. Sami, mistrzowie krętactwa, obawiali się władcy Renesansu pióra zdolnego dyplomaty więcej niż miecza. Mawiał Ludwik Moro Sforza: „Jeden list Macchiavellego jest niebezpieczniejszym od tysiąca mieczów”. Bo większym od ksią-

żat majstrem subtelnej myśli i utalentowanego pióra był Macchiavelli. Zdradził on sam w swoich „Listach“ tajemnicę obłudy dyplomatycznej. Cóż może być skuteczniejszego do wywodzenia ludzi w pole — pisał — nad dobrze ułożoną (czytaj kłamana) i ozdobną słodycz? Cóż rozumy ludzkie lepiej oszukuje, wzrusza i pokonywa od mowy przyjemnej i pełnej poważnych sentencji?“

Słodko, uprzejmie umieli władcy Renesansu przemawiać do tych, których skazali już w myśli na śmierć. Z krwi, podłości i zdrady były zlepione troniki władców Renesansu.

Tyran Camerina, Bernardo Varenno, zamordował swoich dwóch braci, bo jego synowie byli łasi na schedę po stryjach (1432 roku).

Tyrani Perugii, Baglionowie, wieszali swoich przeciwników całemi setkami, zabili siostrzeńca papieża Inocentego VIII, wymordowywali się nawzajem, jak rozjuszony głodem wilki. Aż dwudziestu siedmiu członków tego domu zginęło z ręki bratobójczej za pontyfikatu Pawła III, w roku 1500 czterech podczas uroczystości ślubnych Astorra Bagliona z Lawinią Colonna. Ostatni z Baglianów, Ridolfo, zamknął krwawą księgę

swojego rodu zamordowaniem legata i urzędników papieskich (1534 roku).

Galeotto Pico, pan Mirandoli, osadził w roku 1470 swojego brata, Antoniego Maryę, w podziemnym więzieniu, a bratanek Jana Franciszka Pica pozbawił stryja władzy i życia (1533 r.)

Pandolfo Petrucci, od roku 1490 tyran Sienny, spędzał wolne od rządów chwile spychaniem z góry Monte Amiato na przechodniów odłamów skalnych. Panował w ten sposób, że urządzał od czasu do czasu rzezie w mieście, „aby go się poddani bali“.

Filip Maria Visconti, książę Medyolanu (od r. 1412—1447) był typem władcy, którego zmora strachu bezustannie dławiała. By się ochronić przed skrytobójcami, których jego wyobraźnia wszędzie widziała, nie pokazywał się miastu, żył samotnie, zamknięty w swoim zamku, nadzianym od góry do dołu, wewnątrz i na zewnątrz, wszelakiego gatunku bronią. Podejrzliwy, wietrzący wszędzie zdradę, otaczał się tylko takimi dworzanami i urzędnikami, których charakter i psychologię poprzednio sam osobiście zbadał. Nie wierzył nikomu, nawet przyjaciołom. Do boku każdego dworzanina, urzędnika, lokaja dodawał szpiega.

Umiał się uprzejmie uśmiechać do upatrzonyj ofiary. Był do tego stopnia podszyty tchórzem, iż nie pozwalał nikomu stawać w oknie zamku, aby „nie mógł dawać jego wrogom, czyhającym na jego zgubę, jakichś znaków porozumiewawczych“. Jedną ze swoich żon kazał męczyć na torturach.

I w rodzinie Sforzów panowała zawiść i nienawiść. Brat Franciszka Sforzy, Aleksander, podstawił bratu nogę, umawiając się przeciw niemu z Francją; syn Franciszka spiskował przeciw ojcu, żona jego zabiła mu kochankę. — Następca Franciszka, Galeazzo Marya Sforza (1466—1476 roku) zakopywał ofiary swojej podłości żywcem w ziemi; kobiety uwiedzione, gdy go znużyły, gdy miał ich dosyć, rzucał na pastwę publicznego pośmiewiska, wystawiając je pod pręgierzem, na rynku; własną matkę zgładził. — Następca Galeazza Maryi, Ludwik Moro Sforza, był synem znakomitego dyplomaty w stylu renesansowym, kierującym się zasadą: cel uświęca wszelkie środki i nie wierz nikomu, nawet rodzonemu bratu. Zabójstw jawnych unikał. Jakiegoś obywatela kremońskiego kazał cichaczem udusić za to, że mu zarzucał zbyt wysokie podatki.

Estowie, panowie Ferrary, umieli i lu-

bili się mścić za rzeczywiste lub urojone zniewagi i byli najkochliwszymi władcami Renesansu. Mikołaj III kazał ściąć (w maju 1425 r.) najmilszego swojego syna Uga, i swoją drugą żonę, Parisinę Malatesta, za to, że posądzał ich o romans. Ta jego wrażliwość na czystość i honor ogniska domowego nie przeszkadzała mu jednak wcale mieć legionu konkubinek i kilkaset nieprawnych dzieci. Gniazdem bękartów był dom Estów. Papieża Piusa II, jadącego na sobór mantuański, witało po drodze ośmiu młodych Estów. Wszyscy byli bękartami.

Hipolit d'Este kazał najętym zbirom wylupać bratu swojemu, Julianowi, piękne oczy za to, że się Anieli Borgia, którą on dla siebie upatrzył, kochała w tych ładnych oczach (1505 r.) — Alfons I d'Este kazał zamordować okrutnie Herkulesa Strozziiego za to, że podejrywał go niesłusznie o romans z jego żoną, Lukrecją Borgia (w czerwcu 1508 r.). — Alfons II d'Este kazał udusić swojego przyjaciela, hr. Contrariego, za to, że się w nim kochała jego siostra Lukrecya, a on w niej. Zemściła się straszliwie obrażona księżna za swój ból. Zmówiwszy się z przeciwnikami Estów, pozbawiła ich władzy, wypędziła własny ród z Ferrary. — Dwóch braci Herkulesa I.

knęło spiski przeciw niemu (1506 r.) Za tę zdradę gnili do śmierci w więzieniu.

Najbezwzględniejszym, najokrutniejszym, najprzebieglejszym mordercą był Cezary Borgia, zwany przez historyków demonem Renesansu. Takich rafinowanych, na chłodno z premedytacją zabijających łotrów, jak ten chytry i ambitny kondotier, wydała ludzkość nie wielu.

Innemi drogami pieli się do władzy Medyceusze. Kupcy, bankierzy florency, nie obyci z bronią, posługiwali się mieczem kupieckim — pieniędzmi. Stary Kuźma de'Medici, brzydki, chciwy na grosiwo handlarz, znakomity znawca ludzi, miał rękę szeroką, hojną. Ale nie dla tego był hojnym, że mu hojność sprawiała przyjemność, lecz dla tego, że potrzebował jej do swoich celów. Pieniędzmi jednał sobie, kupował zwolenników, przyjaciół, pieniądze torowały mu drogę do wpływów, do władzy. Wnuka swego, Wawrzyńca, uczył: Nie żałuj pieniędzy na cele publiczne i dobroczynne, bo dobrze obmyślona hojność opłaca się sowicie.

Trudniej niż w innych miastach było we Florencyi dotrzeć do władzy. Wzorowa rzeczpospolita z czasów „wielkiego wieku“ miała czujne i podejrzliwe oczy, stała na

straży swojej wolności. Nieostrożnych ambitników wypędzała z miasta lub usuwała za pomocą szubienicy.

Na tę zazdrosną czujność republikanów znalazł Kuźma sposób. Usypiał ją pozornem lekceważeniem wszelakich godności i zaszczytów miasta. O urzędy i tytuły, jak inni kondotierowie, nie ubiegał się niby, w radzie rzeczypospolitej nie zasiadał, odgrywał chytrze rolę przeciętnego, zwykłego, dobrodusznego obywatela, nie mającego zamiaru piąć się w górę.

Była we Florencyi gromadka starych, zasłużonych rodów, mających prawo do władania. Tych patrycyuszów trzeba było osłabić, zrujnować, aby nie przeszkadzali skrytej ambicyi Medyceuszów. I na to znalazł Kuźma sposób. Staraj się złamać bogatych i możnych — uczył swojego wnuka. — Gdy zauważysz, że któryś z potentatów florenckich bogaci się zanadto, podstaw mu nogę, zrujnuj go materyalnie. Masz pieniądze i kupcem jesteś, więc wiesz, jakimi środkami gubi się współzawodnika. Gdy któryś z nich będzie się piął zanadto w górę, staraj się go poniżyć, zbezczęścić w opinii ludu, zepchnąć z wyżyn, a gdyby się to nie udało, usunąć ze swojej drogi po kondo-

tjersku. Zawsze znajdą się tacy, co za pieniądze żgną gdzieś w kącie sztyletem.

Lud florencki był dumny ze swojej wolności, szlachty nienawidził, moŜnym nie ufał, śledził ich kroki. I na tę kontrolę znaleźli Medyceusze sposób.

Lud florencki, ŝwawy, dowcipny, chciwy uŜywania ŝycia, lubił się śmiać, bawić. Wyzyskali te jego słabości Medycyusze. Ilekroć groziło im jakie niebezpieczeństwo, „zamykali gębę“ niezadowolonym, buntującym się pauprom: turniejami, karnawałami, balami, widowiskami teatralnymi, biesiadami, nie szczędząc mamony. Rozbawiony, roześmiany, rozhułany lud zapominał o swojej wolności republikańskiej, tańczył, śpiewał, upijał się, wdzięczny „hojnym, dobrym, wesołym dobrodziejom ubogich“.

Na pieniądzach, na rafinowanej chytrności kupieckiej i korupcyi, na demoralizacyi ludu wywindowali się Medyceusze na sam czubek Florencyi, stali się jej władcami, despotami.

Tak wyglądali władcy Renesansu.

W tej bandzie krwawych lub przewrotnych, chytrych uzurpatorów znalazło się kilku prawych, szlachetnych mężów. Lionel d'Este, Ludwik Gonzaga, Fryderyk de Montefeltro i Alfons Wielki, król neapolitański,

zasłużyli sobie dobrocią i uczciwością na wdzięczną pamięć potomnych.

Dochrapawszy się władzy bandyckimi lub lisimi środkami, starali się kondotierowie o legalizowanie tej władzy za pomocą tytułów. Nie było o to trudno w owym czasie. Cesarze niemieccy, Zygmunt Luksemburski i Fryderyk III, potrzebujący bezustannie pieniędzy, nie odmawiali nikomu tytułu, kto mógł za niego zapłacić. W podróżach swoich po Włoszech fabrykowali za gotówkę całemi kopami różnego rodzaju książąt, margrabiów, hrabiów, rycerzów, doktorów, notaryuszów i t. p. dygnitarzów. Podczas pobytu swojego w Ferrarze (1469 roku), zgarniał Fryderyk III mamonę przez cały dzień, od rana do wieczora, podpisując dyplomy na tytuły i przywileje. Od niego to kupił sobie Borso d'Este tytuł księcia modeńskiego i przywilej na to księstwo za 4000 złotych rocznego haraczu.

Z władzą i tytułami przyszła chęć świecenia inteligencją i bogatym dworem. By świecić mózgiem w XV stuleciu, trzeba było być koniecznie humanistą. Za prądem tym idąc, uczyli się nowi władcy na gwałt łaciny, historii rzymskiej (Medyceusze także grecczyzny) i czytali klasyków rzymskich.

By błyszczyć światnym dworem, otaczali się znakomitościami owego czasu: uczonymi, poetami, artystami; urządzali bale, turnieje, polowania, karnawały, widowiska teatralne.

Synowie kondotjerów, założycieli nowych dynastyi, należeli już do sfer oświeconych. Nawet taki potwór, jak Zygmunt Malatesta, znał doskonale literaturę i filozofię klasyczną, lubił sztukę, pisywał poezję i był znakomitym retorem.

Tłumy uczonych, poetów i artystów tłoczyły się do dworów nowych książąt.

Mówi się dużo o mecenasostwie tych książąt, o ich popieraniu nauki, literatury i sztuki. Przypatrzwszy się jednak bliżej temu mecenasostwu, spotyka się nie wielu szczerych a hojnych protektorów. Próźni, ambitni, łaknący rozgłosu, myślący tylko o sobie, o swoich interesach, o swojej sławie parweniusze, otaczali się synowie i wnukowie kondotjerów uczonymi, poetami i artystami głównie dla tego, że od ich dobrej lub złej woli zależała ich sława. Kronikarz i historyk przekazywali ich czyny, ich biografie potomnym, poeci-panegirycy wieńczyli ich głowy laurem pochlebstwa, malarze, rzeźbiarze i architekci zdobili ich zamki i miasta obrazami, kościołami

i pałacami. Czytając panegirystów owego czasu, zdawałoby się, że wszyscy książęta i książątka Renesansu byli jasnymi świecznikami ludzkości, bohaterami i mędrkami, a małżonki ich wzorami cnoty.

O Lukrecyi Borgii n. p. nie uważającej za potrzebne szanować swojej godności niewieściej i książęcej, pisał Tytus Strozzi w dedykowanym jej epigramie, że „w niej połączyły się wszelkie świetności nieba i ziemi“.

Syn Tytusa Strozziego, Herkules, zamordowany na rozkaz Alfonsa I d' Este, wielbił brata Lukrecyi, Cezara Borgię, w poemacie bohaterskim (1508 r.), nazywając tego krwiożerczego żbika geniuszem, „mężem Opatrzności“, zesłanym przez Boga na ziemię w celu odbudowania wielkiego niegdyś świetnego Rzymu“.

Humaniści i niehumaniści, uczeni, poeci i artyści, czepiający się klamki nowych władców, nie szczędzili kłamliwych pochlebstw swoim chlebobdawcom, głaskali ich próżność i egoizm aksamitnymi epigramami, kanconami i sonetami. Ubodzy łasili się bogaczom z psią uległością dla wikt i opierunku, zamożniejsi wyzebrywali w ten sposób urzędy dworskie, godności i tytuły.

Nie bardzo obfitym był ten wikt i

opierunek nadwornych fabrykantów panegyryków, mów okolicznościowych i epigramów wielbiących. Bowiem nie tak hojnymi, jak się powszechnie mniema, byli książęta włoscy. Oprócz papieżów, Alfonsa Wielkiego, Lionela d'Este i Fryderyka de Montefeltre, którzy mieli szeroką rękę dla potrzebujących i umieli ocenić i wynagradzać po wielkopańsku talent, pracę i zasługę, mieli inni wielmoże XV w. szeroką rękę tylko dla siebie. O sobie, o swoich zachciankach i zbytkach pamiętali, odzierając swoich poddanych ze skóry, gdy im było potrzeba pieniędzy na festyny, uroczystości weselne i teatry, wymyślając coraz to nowe podatki, daniny, haracze. Ale dworzanom, nadwornym literatom, rzucali resztki, ochłapy, skąpiąc im wszystkiego, nawet powszedniego chleba. Kto nie chciał, lub nie umiał zdobyć ich łaski łagasowskim pochlebstwem, kto nie lizał pokornie ich stóp, ten klepał biedę, cierpiał nawet nędzę, mimo talentu i zasługi.

Antoni Cammelli (1440—1502), zwany Pistoją, poeta, satyryk, odważny w słowie, odczuwający głęboko podłość podłych i nieszczęście ubogich, był przez całe życie nędzarzem. Poniewierając się na dworze ferraryjskim, cierpiał głód. Skarżył się on, że

książe wynagradza hojniej swoich parobków, aniżeli poetów, których sadza przy stole razem z woźnicami i błaznami, karmiąc ich psującymi się potrawami i skwaśniałem winem.

Antoniemu Tebaldiemu (Tebaldeo) nie pomogły nawet pochlebstwa, któremi zasypywał obficie wielkie damy Renesansu. Nauczyciel Izabelli d'Este, prosił swoją uczennicę, gdy została księżną mantuańską „o cztery koszule, bo nie ma co na siebie włożyć”. Wyzyskiwał go bezwstydnie mąż Izabelli Gonzaga, któremu zachciało się sławy poety. Tebaldi pisał sonety, a Gonzaga wydawał je jako swoje. Za tę robioną sławę wynagradzał go obrzydliwym wiktem, którego biedny sonecista nie mógł przełknąć. Nawet dziesięciu dukatów miesięcznej pensji mu odmówił.

Ludwik Ariosto, chluba Ferrary i wieku XVI, walczył przez całe życie z niedostatkiem. Wysłany do Rzymu z powinszowaniem do nowoobranego papieża Leona X (1513 r.), nie miał za co kupić sobie galowych sukien, potrzebnych w takich okazjach. Wiedział o tem Ferrary, który go wysłał, ale nie uważał za potrzebne odziać dostatnio swojego dworzanina.

I Mikołaj Macchiavelli, sekretarz sta-

nu, ambasador Florencyi, wysyłany często w misjach dyplomatycznych na różne dwory, musiał dokładać do kosztów podróży ze swojego osobistego, po ojcu odziedziczonego mająteczku, bo jaśnie oświecona Signoria wyposażała tak skąpo swoich wyższych urzędników, iż pensya nie starczyła im na bogatszy strój, konieczny dygnitarzowi w służbie.

Więc hojnymi nie byli możni panowie Renesansu. Uchodził za bardzo hojnego Wawrzyniec de Medici, zwany Wspaniałym, ale i on otwierał szkatułę tylko wtenczas, kiedy mu hojność była potrzebną do jego celów osobistych.

Znalazł się w wieku XV jeden humanista, który umiał tak zręcznie schlebiać próżności parweniuszów w koronach, iż mu się jego metoda sownie opłacała. Był nim Franciszek Filelfo (ur. 1398 † 1481), znakomity łacinnik i grek. Wielbił on każdego, kto mu dobrze zapłacił, a wielbił tak bombastycznie, że wielbiony, odurzony niezwykle chwalebami, otwierał bez namysłu worek i sypał tyle złota, ile tylko poehlebca zażądał.

Filip Marya Visconti, tchórz i obłudnik, był według niego „boskiem księciem, chluba i światłem królów, panem bogobojnym, słod-

kim i wspaniałomyślnym“. O Alfonsie Aragońskim pisał: „Sam Bóg, który się niepokoi o wszystko i sądzi wszystko, jest zawsze przy twoim boku i sypia z tobą“. Kondotiera Piccininę porównywał z bożkami greckimi. Sforzów unieśmiertelnił w poemacie epicznym.

Oznaczał z góry honorarium za panegiryk i kazał sobie płacić zaliczki. Gdy zamawiający towar nie kwapił się z wypłatą, wstrzymywał robotę i wymyślał, jak pijany parobek. Dawaj pieniądze ty taki owaki, bo „geniusz słabnie, gdy go się skrapia złem winem“. I władca spieszył z gotówką, aby „mistrz nie cisnął w kąt jego pomnika aere perennius“. Nawet taki Franciszek Sforza, najprzyzwoitszy członek tego domu, drżał na myśl, że Filelfo nie skończy panegiryku jego rodu i posyłał natychmiast pieniądze i najlepsze wino, aby się „geniusz mistrza mógł pokrzepić“.

Bezczelnie zebrał ten handlarz sławy. Przysłał mu kto konia — wołał: dawaj także owsa dla szkapy. Aleksander Sforza obdarował go błamem dobrego sukna, a on domagał się: potrzeba mi jeszcze futra.

I dawano mu wszystko, czego tylko zażądał, ze strachu przed jego ciętym językiem. Bo gdy ktoś nie chciał sypać duka-

tów do jego torby, pieniał się ze złości i maczał pióro w ślinie jadowitej. Zmieszał z błotem Medicich, starego Kuźmę, jego wnuka Wawrzyńca i całe ich uczone otoczenie za to, że mu Florencya nie chciała służyć.

Budując sławę wielmożów śmiesznem pochlebstwem, kłamstwem, wymyślaniem niezwykłych czynów, o których nikt nie wiedział, zbudował sobie spory majątek i żył dostatnio, bogato ze swoją żoną i dwunastoma prawemi i nieprawemi dziećmi i konkubinami. Chciwi sławy pogrobowej i swojego domu, płacili mu za panegiryk lub poemacik epiczny po kilkaset dukatów, co na owe czasy stanowiło znaczną sumę.

Znalazł się w XVI stuleciu drugi taki majster wyłudzenia pieniędzy. Był nim Piotr Aretino, zwany kondotierem literackim (ur. 1492, † 1557), syn szewca z Arezzo (stąd jego nazwisko), urodzony satyryk i pamflicista. Bezczelny, zuchwały, obmyślił sobie inną metodę zarobkowania piórem. Filelfo chwalił bezmyślnie, Aretino obszczekiwał, oczerniał. Biada temu, kto mu nie dał żądanych pieniędzy. Opluł go, obłocił od góry do dołu. A miał tak cięte i zatrute pióro, iż raniło do dziesiątej skóry. Bali się go wszyscy, nawet papież, cesarz i królo-

wie. „Biczem książąt“ go nazywano. Zamykali mu wężową gębę sutymi kubanami i stałemi pensyami: Jan de Medici, książę Toskanii, Franciszek I, król francuski, cesarz Karol V, papież Juliusz III i wielu innych.

O jego względy ubiegali się wielcy i mali, łotrzykowie i ucziwi. Nawet tak czysta sercem i duszą niewiasta, jak Wiktorya Colonna, wolała być dla niego uprzejmą, niż narazić się na jego podłości. Krytykom swoim odpowiadał: wolno kondotierom zabierać cudze miasta, zamki i złoto i mianować się prawem kaduka panującymi książętami, wolno i mnie rabować ich szkatuły.

Jego mieszkanie w Wenecyi, gdzie mieszkał od r. 1527, było istnym domem publicznym. Jego podłe pióro przynosiło mu tyle, że mógł utrzymywać cały harem. Żył na modłę Renesansu, hucznie i hulaszczco, żył pożądliwością rozpętanych zmysłów.

*

*

*

Wielkie mnóstwo ludzi oryginalnych, samodzielnych, utalentowanych, idących przebojem do władzy, sławy i złota, wydał rozbrykany indywidualizm Renesansu, ale natur szlachetnych, dusz podniosłych i serc

dobrych bardzo mało. Tu i owdzie znalazła się jakaś nieskalana brudami życia Wiktorja Colonna, znaleźli się jacyś czystej duszy marzyciele filozoficzni, jak Marsilio Ficino i Jan Pico della Mirandolla, jacyś rozumni, cnotliwi wychowawcy młodzieży, jak Vittorino Rambaldoni da Feltre, jacyś łagodnego serca i hojnej ręki władcy, — znaczna jednak większość warstwy przodującej (kler, uczeni, literaci, artyści, książęta, dworzanie, możni kupcy) biegła na oślep w objęcia brutalnego egoizmu i w błoto nienasyconych niczem rozkoszy zmysłowych.

Nie bez przyczyny grzmiał Hieronim Savonarola w katedrze florenckiej: „wy jesteście rasą świń. Jesteście zepsuci we wszystkim, w słowie i w milczeniu, w czynie i bezczynności, we wierze i bezwierze. Niema między wami ani jednej jednostki, któraby chciała dobra“.

Przesadził fanatyczny dominikanin, ferwor czyściciela duszy XV stulecia poniósł go za daleko, ale część prawdy huczała w jego bezwzględnym oskarżeniu.

V.

Przesadził Savonarola, wołając: nie ma między wami ani jednej jednostki, która by chciała dobra! Świadectwem: skutki znakomitszych, szczerze wierze i etyce chrześcijańskiej oddanych mnichów pokutnych, takich, jak: Bernard de Syena, Wojciech da Sarteano, Jakób della Marca, Jan Kapistran, Bernard de Feltre, Robert da Lecce i Hieronim Savonarola, że nie cały naród włoski podlegał gangrenie moralnej. W szerokich masach ludu i mieszczaństwa nie zwiędło jeszcze sumienie, wonny kwiat chrystyanizmu. Odzywało się ono zawsze potężnym głosem alarmowego dzwonu, ilekroć w nie uderzyło nowe słowo utalentowanego i natchnionego kaznodziei.

Lud włoski XV i XVI wieku nie przestał być katolickim. Był to oczywiście katolicyzm więcej tradycyjny, niż odczuty i zrozumiany, jak bywa wogóle wiara w warstwach, niezdolnych do wniknięcia w jej tajemnice, w jej ducha. Zabobony, gusta, przesady i mity rzymskiego poganizmu wsiąkły w ten katolicyzm.

Wiernymi katolikami, kierującymi się w życiu zasadami chrześcijańskimi, byli przeciętni mieszczanie, nietylko rękodzielnicy, lecz także oświeceni od nich adwokaci i urzędnicy. Nie zbywało w tej warstwie społecznej na ludziach dobrych i prawych.

Naprzykład Lapo Mazzei.

Adwokatem był we Florencyi (około roku 1403), doradcą prawnym bogatych kupców i przemysłowców, a tego rodzaju doradcy umieją zwykle pamiętać o nabiciu swojej własnej kieszeni.

Nie tak Lapo Mazzei, chociaż miał o kim pamiętać, bo ośmioro dzieci wyciągało do niego ręce, o chleb powszedni prosząc.

Pomiędzy innymi należał do jego stałych klientów bogaty kupiec, Franciszek Datini. Łączyła go z tym klientem serdeczna przyjaźń; mógł jego szkatułę wyzyskać dla siebie. A on, zamiast myśleć o sobie i o swoich dzieciach, nakłaniał bogacza do wspierania wdów i sierót, ubogich i bezdomnych.

„Spętaliście swoją duszę nizkimi, pospolitemi i smutnemi sprawami tej ziemi — pisał do Datiniego — dopiero, gdy się odwrócicie od tych spraw, które was dziś męczą troską i niepokojem, wówczas nacylicie ucha do łagodnych słów przyjaciela,

kochającego was i życzącego wam czci wobec Boga i ludzi. I będziecie wówczas żałowali czasu, któryście poświęcili gromadzeniu bogactw, albowiem bogactwo jest cieniem między duszą a Bogiem.

Bezustannie zebrał Lapo Mazzei u Datiniogo o jakieś wsparcie to dla wdów, sierót, chorych robotników, to dla ubogich dziewcząt, aby „nie wpadły w szpony grzechu“. A umiał przemawiać do serca i sumienia bogacza tak przekonywająco, iż się napęczniały worek zawsze bez oporu otwierał.

Zabiegi Mazzei'ego sprawiły, że Datini zostawił po sobie hojny zapis na instytucje dobroczynne.

Dobre serce i ładną duszę miał ten adwokat florencki. Swego miasta rodzinnego nie lubił. „Chciałbym być zdala od Florencyi, od tego świeckiego Faraona, chciałbym żyć z ptaszkami i rybami, co nie czynią i nie mówią nic złego“ — mawiał.

Nie on jeden zadawał kłam oskarżeniom Savonaroli, który potępiał w czambuł wszystkich Włochów. Było w wieku XV i XVI więcej takich, jak on, w miastach, miasteczkach i po wsiach. Ale nie wiedziała o nich trąba reklamowa owego czasu, zbyt pyszna i zbyt służalcza, by się chciała zaj-

mować drobnemi plotkami społeczeństwa ginącemi w morzu szarego tłumu. Miała przecież do roztrąbywania cnót i geniuszów tylu kardynałów, świeżo upieczonych książąt, margrabiów, hrabiów, kondotierów, uczonych, literatów, artystów, iż nie stało jej czasu dla cichych, skromnie na uboczu stojących zasług.

Nie zbywało także w epoce bękartów i wolnej miłości, lekceważącej obowiązki legalnego małżeństwa, na wiernych żonach i troskliwych matkach. Należała do tego typu Aleksandra Macinghi, żona Mateusza Strozzi'ego.

Strozzi'owie byli zamożnymi kupcami florenckimi, należeli do patrycyatu miasta. Materyalne ich powodzenie kłuło w zawistne oczy starego Kuźmę de Medici, którego podstępna skryta ambicya nie znosiła zamożnych współzawodników. Więc postarał się o wypędzenie Strozzi'ch z Florencyi (1434 r.). Poszli wszyscy na wygnanie: Mateusz Strozzi z żoną i sześciorgiem drobnych dzieci i z trzema braćmi, Mikołajem, Jakóbem i Filipem.

Po śmierci szefa domu, Mateusza, wróciła jego wdowa, Aleksandra Macinghi, do Florencyi, aby wyżebrać u signorii dla rodziny swojej prawo powrotu. Trudziła się

przez długi czas daremnie. Bowiem Strozziowie, bardzo zręczni, ruchliwi kupcy, dorobili się znów na wygnaniu znacznego majątku, a Medycyusze nie znosili obok siebie bogatych i przebiegłych konkurentów.

Całą drugą połowę życia poświęciła Aleksandra swojej rodzinie, myśląc tylko o jej losach, o jej szczęściu. Była ona łącznikiem banitów, rozproszonych po Włoszech i Francji. Wierna żona, kochająca matka, rządna gospodyni, żyła tylko dla dzieci i wnuków, śledząc uważnie każdy ich krok, służąc im sercem i radą, nie myśląc zgoła o sobie. Listy od niej do członków rodu szły bezustannie. Zajmował ją gorąco najdrobniejszy szczegół, odnoszący się do jej synów, ich żon i wnuków. Doczekała się jeszcze za życia zniesienia banicy (1466 r.). Po trzydziestoletniej włóczędze wrócili Strozziowie do Florencji. Jej to było dziełem.

Powoli psuło się także zamożniejsze mieszczaństwo, gnuśniejąc, gnijąc w dobrobycie. Rozkład jednak etyczny nie postępował pośród niego tak szybko, jak w warstwach przodujących. Tylko bardzo możni kupcy, jak Medyceusze, pnący się do tych

warstw przodujących, przejęli się duchem Renesansu.

Być może, iż wstręt przeciętnego mieszczanina włoskiego do humanizmu przyczynił się do ocalenia jego włoskiej duszy.

Trzeźwy, praktyczny zmysł fabrykanta, kupca, rękodzielnika, kamienicznika, zamożnego rolnika, drwił z molów książkowych, co, ślęcząc nad zbutwiałymi pergaminami, i kłócąc się o drobiazgi filologiczne, odcięli się od życia. Cóż jemu, mieszcuchowi, zajętemu rzeczami praktycznymi, po Homerze i Wirgiliuszu? Zdaniem jego, można „z ludowego przysłowia wydobyć lepszy, zdrowszy owoc“. I cóż jemu, ojcu rodziny i obywatelowi miasta, po mądrości humanistów, którzy nie mają wyobrażenia o gospodarstwie domowym, gardzą małżeństwem i żyją jak szaleńcy, nie troszcząc się ani o szczęście dzieci ani o dobro państwa?“ I cóż w końcu jemu, posługującemu się swoimi klientami i robotnikami tylko językiem włoskim, po łacinie? On kochał swój język ojczysty i nazywał „zdrajcami, fałszerzami, bezpłodnymi szubrawcami“ tych, co się wstydzili włoskiego volgare. On lubił czytać powieści i powiastki, ale pisane po włosku, a jeszcze więcej lubił dowcipy,

śmieszności, facecye, choćby tłuste, t. zw. burkieleski, stworzone przez dowcipnego fryzjera florenckiego, Burckiella († 1448).

Ta literatura „wulgarna“, gminna, zabawka mieszczan w chwilach wolnych od zajęć praktycznych, ta literatura dyletancka nie miała oczywiście trwałej wartości — była grubą, nieokrzesaną, stworzoną dla niewybrednych gustów, ale trudno jej odmówić zasługi ocalenia języka włoskiego od zagłady. Gdyby nie ona, byłaby go łacina pochłoneła.

Znalazł się pisarz rzeczywisty, literat z talentu i zawodu, który zrozumiał, że literatura powinna służyć nie tylko jakiejś grupie wybrańców, za których się mieli humaniści, ale całemu narodowi. Tym pisarzem był Leon Baptysta Alberti (ur. 1407 † 1472), doskonały typ wybitnego człowieka Renesansu. Pisarz i rzeźbiarz, architekt i rysownik, świetny jeździec i siłacz-gimnastyk, prawnik i muzyk — usiłował wiedzieć i umieć wszystko, był pełnym człowiekiem. On to, jakkolwiek znał język łaciński i grecki równie dobrze, jak najlepsi humaniści, odważył się pisać po włosku w chwili, kiedy humanizm był w pełnym rozkwicie, kiedy nazywano barbarzyńcą, nieukiem każdego, kto nie posługiwał się językami kla-

sycznymi. Rzuciła się na niego cała sfera uczonych pedantów, jako na „psowacza wykwiłtej kultury“, na co on odpowiedział: „Któż będzie tak odważnym potępić mnie za to, że piszę w języku, który wszyscy rozumieją? Przeciwnie, rozumni powinni mnie za to pochwalić, że przemawiając językiem, dla każdego dostępnym, wolę pomagać wielom, niż podobać się kilkom, bo wiadomo, jak mało jest osób, zasługujących na tytuł oświeconych. Przyznaję że starożytny język łaciński jest bogaty i ozdobny. Ale nie widzę, dlaczego lekceważy się nasz język toskański do tego stopnia, iż wszystko, co się w nim pisze, choćby najdoskonalsze, zasługuje na nagane. A przecież i w naszym języku jest nie mniej ozdób, niż w łacińskim. — Piszę po włosku, bo wszystko, co piszę, nie piszę dla siebie albo dla małego kółka uczonych, lecz dla całego narodu. — Cały mój talent, całą moją działalność oddaje na usługi mojego narodu“.

Śladami Albertiego poszli Maciej Palmieri (urodz. 1406 † 1475) i Krzysztof Landino.

Odważni przeciwnicy kultu łaciny i grecczyzny byli przez dłuższy czas osamotnieni. Przyszli za wcześnie. Jeszcze panował

nad warstwą oświeconą humanizm, a kto płynie przeciw prądowi chwili, ten płynie wolno, z trudem. Moda jest potężniejszą nawet od geniuszu. W miarę jednak, jak humanizm, zrobiwszy swoje, wyczerpawszy swój program, zaczął się zsuwać z wyżyn panującego prądu, wypychał go język włoski z poezji i dzieł naukowych z każdym rokiem natarczywiej.

Co rozpoczął Alberti, poprowadziło dalej pod koniec XV w. grono literatów, gromadzących się dokoła Wawrzyńca de Medici Wspaniałego i t. zw. młoda Ferrara (Piotr Bembo, Ludwik Ariosto, Jakób Sadoletto, Celio Calcagnini i inni).

Pod koniec XV stulecia zlewa się humanizm z literaturą i sztuką narodową. Humanizm dostarczył do tego zlewu: pięknej formy, szlachetnego gestu w stylu i mnóstwa zapomnianych pojęć — nowy ruch dodał świeże pomysły, czerpane z życia i werwę bujnego temperamentu.

Z tego zlewu powstał Renesans.

VI.

Czemże jest ten Renesans, o którym się tyle mówi, jako o odrodzicielu ludzkości, twórcy nowego światopoglądu, pionierze dzisiejszego porządku społecznego i politycznego?

Jest on rewolucjonistą, a ta jego wywrotowość polega głównie na buncie przeciw autorytetowi. Zaczęło się to od buntu przeciw władzy cesarskiej i kościelnej, która panowała nad myślą i czynami człowieka średniowiecznego. Mówił Piotr Damian: „mądrość ludzka, gdy się zajmuje sprawami boskimi, nie ma prawa odgrywać roli pani; sługą jest i jako sługa powinna służyć swojej władczyni“.

Nie podobał się ten nakaz ludziom Renesansu. Każdemu wolno myśleć, co mu się podoba — mniemali — i odwrócili się od autorytetu kleru. Zaczęli myśleć samodzielnie, z razu cicho, bojaźliwie, z czasem, gdy sam kler stawał po stronie świeckich krytyków, jawnie, głośno. Walcząc z władzą kościelną, oddalali się bezwiednie

od ideologii chrystyanizmu, stawali się wolnomyślicielami. Była to wolnomyślność niepewna, chwiejna, chaotyczna, ale na jej dnie kiełkowało już ziarno późniejszego librepenseurstwa.

Odrywając się powoli od wiary chrześcijańskiej, szukali ludzie Renesansu dla swojej myśli innego oparcia. Znaleźli je w tradycjach i kulturze swoich pogańskich przodków, w literaturze i sztuce Rzymian i Greków. Humanizm stał się ich mistrzem. Z dzieł kultury grecko-rzymskiej trysnął na nich potok pojęć, wyobrażeń, idei, nieznanych średniowieczu. Olśnieni wspaniałym rozkwitem filozofii, poezji, historii i sztuki starożytności, przesiąkali mimowoli zasadami poganizmu, wręcz przeciwnego nakazom Ewangelii.

Racyonalistką była dusza Rzymu i racyonalistką jest także dusza jego potomków.

I Włoch umiał i umie myśleć dotąd trzeźwo, chłodno, mimo temperamentu żywego. Nieudolny, dyletancki jako filozof-ideolog, posiada on zmysł rzeczywistości, jest praktycznym, przezornym. Doświadczenie waży u niego więcej, niż wiedza. „Doświadczenie — twierdził Giuniano Maio — jest bezwątpienia pożyteczniejszem od wie-

dzy, bo wiedza umie bardzo dobrze mówić, a doświadczenie potrafi daleko lepiej czynić“. To samo zdanie wygłaszali Hieronim Savonarola, Leonard da Vinci i inni.

Z tego racjonalnego mózgu włoskiego, podnieconego świeżym, młodym krytycyzmem Renesansu, musiał się urodzić empiryzm naukowy, oparty o metodę eksperymentalną. I stało się tak w istocie. Matematyk Łukasz Paccioli, astronom Paweł Toscanelli, filozof Jan Pico della Mirandola i malarz Leonardo da Vinci rzucili podwaliny pod nowoczesną metodę doświadczalną w naukach ścisłych. Były to podwaliny jeszcze słabe, nikłe, ale wskazały przyszłości nową drogę. Nauki ścisłe nie mogą się obyć bez eksperymentów.

Nie wystarcza im sama teoria.

Którzy nazywają renesans włoski pionierem pojęć czasów najnowszych, nie mylą się. Kiełkujące w XV wieku nieświadome jeszcze siebie wolnomyślicielstwo, metoda eksperymentalna, stosowana w naukach ścisłych i racjonalizm przygotowały grunt dla filozofów i badaczy XVIII, XIX i XX wieku.

Racyonalistyczny Włoch jest także urodzonym artystą plastycznym. Pogodne, rzadko ołowiem chmur zeszpecone niebo

włoskie, malownicze krajobrazy, morza, góry i resztki sztuki rzeźbiarskiej i architektonicznej starożytnej Romy, rozrzucone po całym kraju, wyrobiły w nim zmysł i poczucie piękna. Ten zmysł wrodzony i poczucie piękna, rozwinięte pełną swobodą pędzla, dłuta i cyrkla, nieograniczone średniowieczną cenzurą tematów, wydały szereg wielkich mistrzów sztuki plastycznej. Jeśli kim, to artystami swoimi może się Renesans poszczycić. Jaśniej od nazwisk aroganckich humanistów, połowicznych uczonych, świecą na niebie sztuki i kultury wogóle nazwiska: Michała Anioła, Tycyana, Rafaela, Leonarda da Vinci, Bramante. Z wielkiej gromady literackiej mogą stanąć obok nich tylko Ariosto i Tasso.

Niezwykły rozwój indywidualizmu i wspaniały rozkwit sztuki plastycznej jest głównym, trwałym dorobkiem Renesansu włoskiego.

Gdyby bujny indywidualizm, nie znoszący żadnego autorytetu i bogata sztuka plastyczna była celem człowieka, zasługiwałby ruch ideowy i artystyczny Włoch XV stulecia na zaszczytne miano odrodzenia (Renesansu).

Ale człowiek nie jest tak doskonałą istotą, iżby mógł kierować sobą sam bez

pomocy woli i mądrości wyższej od jego woli i mądrości. I jedynym jego celem nie jest ozdabianie życia tworamii sztuki. Najlepszą, najszlachetniejszą częścią jego ja, która go prowadzi do wyżyn duchowych, jest jego wartość moralna.

A właśnie tę najlepszą, najszlachetniejszą część człowieka sponiewierał, zburzył bunt przeciw autorytetowi.

Z bezwzględnej krytyki kleru wylęła się w inteligencji włoskiej XV w. skryta obojętność dla chrystyanizmu, z obojętności dla chrystyanizmu wykluło się lekceważenie zasad etycznych Ewangelii, z lekceważenia zasad etycznych Ewangelii i z odświeżonych pojęć pogańskich (humanizm) wypełził rozpustny kult ciała, połączony z cyniczną nieuczciwością.

Wszystko, co zdrowa starożytność wydała etycznie czystego, pięknego, szlachetnego, pominął Renesans włoski, a upodobał sobie, przyswoił głównie jej grzech i brudy z epoki rozkładu.

Do kultu ciała dodał przebujny indywidualizm pychę ubóstwionego człowieka.

Runął autorytet władzy papieskiej i cesarskiej, rozpadł się na strzępy autorytet rodziny, małżeństwa, zwyczajów, obyczajów, pojęć, zasad bezpośredniej przeszłości („wiel-

kiego wieku“), zachwiał się cały gmach etyczny, zbudowany przez chrystyanizm. Na tych gruzach rozsiadł się pysznie brutalny bezwzględny egoizm ludzki z swojemi zmysłowemi pożądaniami, ze swoim głodem używania życia. Zapanowała anarchia moralna, raczej niemoralna. Spadły z duszy ludzkiej wszystkie pęta wiary, sumienia i obowiązków.

Wielkim głosem krzyczał rozpętany egoizm: nie chcę się poddać nikomu, nie chcę się liczyć z ograniczeniami, narzucenymi przez autorytet religii, władzy świeckiej i obyczajów. Chcę myśleć, co mi się podoba, robić, co mi się podoba, a przede wszystkim chcę używać życia wszystkimi zmysłami. Głupstwem są sumienie i uczciwość, dobroć, sprawiedliwość, — głupstwem: szczerłość, prawdomówność, prawość, moralność, — barbarzyństwem jakiegokolwiek hamulce instynktów. Co dawniej nazywano cnotą nie wytrzymuje krytyki rozumu, a rozum, jedyny mądry doradca człowieka, drwi sobie z majaków sumienia, uczucia, serca i każe podziwiać chytrłość, podstęp i bezwzględność w walce o byt, o władzę i rozkosz. Dziećmi ziemi jesteśmy, dziećmi natury i po ziemsku żyć powinniśmy, karmić się miodem ziemi, jej rozkoszami.

I żył człowiek „odrodzony“ po ziemsku, pił chciwie z dzbana rozkoszy ziemskich.

Gromił słusznie Hieronim Savonarola uczonych i „odrodzonych“ Florentczyków, wołając z kazalnicy: dobre życie, szczęśliwe życie jest według waszych pojęć, jedynym zarobkiem człowieka. A tem dobrem, szczęśliwym życiem nazywacie zabawę i rozpustę.

Tak pojęte „odrodzenie“ musiało stworzyć legalizowanych bandytów, rozbójników, łotrów bez czci i wiary (kondotierów), — dyplomatów, polityków, władców, posługujących się do swoich celów sztyletem, trucizną, skrytobójstwem, — rozpustnych duchownych, dla których ołtarz był tylko dojną krową, środkiem do używania życia — chorych na megalomanię uczonych i literatów, zazdrozczących sobie nawzajem powodzenia, sławy aż do furji, aż do rynsztokowej polemiki i podłego oszczerstwa — cynicznych malarzów, odtwarzających na obrazach świętych dziewic twarze i stroje swoich kochanek, uwielbiane nierządnice, gwiazdy, ozdoby salonów, zwane „czcigodnemi madonnami“ i całe legiony oświeconych oszustów, lichwiarzów (po

miastach), nieuczciwych szachrajów i t. p. hałasty.

Do podniesienia, uszlachetnienia duszy warstw przodujących we Włoszech XV i XVI wieku nie przyczynił się wcale Renesans. Nauczył on je myśleć krytycznie, uwielbiać kulturę grecko-rzymską, buntować się przeciw autorytetowi, wierzyć we wszechmoc człowieka, żyć na ziemi po ziemsku, rozkoszować się wdziękiem sztuki plastycznej, upajać się podnieceniami cielesnymi (wolną miłością), ale o wychowaniu etycznym nie pomyślał. Przeciwnie! Ubóstwiwszy człowieka, wydrwił, opluł, zburzył etykę swoich przodków, najbogatszy dorobek, najwonnejszy kwiat chrystyanizmu i średniowiecznego ustroju społecznego. Popęłnił on ten sam błąd, jaki popełniają wszystkie gwałtowne wywroty wogóle. Zamiast usunąć przestarzałe formy, oczyścić gmach przeszłości z niepotrzebnych chwastów i budować dalej trwałą, wygodniejszy dom dla ludzkości, oparty na mocnej podwalinie etyki i tradycji, — usiłował zniszczyć od razu wszystko, co ustaliło doświadczenie długiego szeregu pokoleń, mniemając, że on dopiero wskaże najlepszą drogę do szczęścia. Niszczył, ale budować nie umiał nowego, wyraźnie uwypuklonego

światopoglądu... chwiejny, niepewny siebie. Negacye tylko rzucił w świat.

Za wiele zaufał Renesans włoski sile człowieka. Człowiek może dużo, ale nie wszystko, człowiek ma lotne skrzydła, lotne myśli, ale nie tak lotne, żeby mogły dotrzeć do tajemnic świata.

Bardzo słusznie zamknął Filip Monnier swoją charakterystykę Renesansu uwagą: człowiek, oddany swoim własnym tylko siłom, ufający tylko samemu sobie i żyjący tylko dla siebie samego, nie potrafi wszystkiego.

Wiedzieli to zresztą, odczuwali niemoc ludzką wybitniejsi przedstawiciele Renesansu. Ale niestety, dopiero zwykle na łożu boleści, w obliczu śmierci. Dopóki im zdrowie służyło, używali życia po renesansowsku, nie dbając o pokarm dla duszy.

Za ten pyszny egoizm, za bałwochwalstwo rozumu i kult ciała zapłacili Włosi drogo. Łaknąc jak najszerzej wolności, raczej swawoli, spadli z deszczu pod rynnę, bo z pod autorytetu legalnej władzy pod bezwzględną tyranie kondotierów. Zgnęśniali w dobrobycie, w rozpuście, w krytycznym mędrkowaniu, stali się tak bezsilni, iż nie byli zdolni do odparcia najazdu Hiszpanów i Francuzów.

Pyszni i samolubni indywidualiści stali się niewolnikami, bezwolnymi narzędziami drapieżnych parweniuszów i podnózkami „barbarzyńców“, jak ich pycha nazywała wszystkie inne narody. Podatnicy kondotierów odzierali ich ze skóry, zabierali ubogim ostatnią poduszkę, a „barbarzyńcy“ skopali ich żelaznym butem zwycięzcy.

Tak zakończyła się wolność i radość życia Renesansu.

K O N I E C.

Spis rzeczy.

Rozdział I. Humanizm	str. 5
Rozdział II. Republiki i indywidualizm ówczesnych ludzi . .	str. 20
Rozdział III. Kler	str. 48
Rozdział IV. Wodzowie i władcy państwa	str. 63
Rozdział V. Lud i lepsze osobistości	str. 88
Rozdział VI. Czem jest Renesans	str. 97





13153/

1A